

Henryk Skrzypiński

Zawile drogi do armii Andersa

Z Bydgoszczy do armii Andersa

Spośród opisanych wielokrotnie wydarzeń z czasów okupacji niemieckiej w Bydgoszczy, pragnę przedstawić osobistą moją drogę do wolności. Za sprawą ówczesnych władz niemieckich dążących do zniewolenia i wynarodowienia Polaków przebyłem zawiłą, lecz skuteczną drogę do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Jako dzieci i nastolatki zostaliśmy wychowani w ten sposób, że marzyliśmy, aby zostać żołnierzami. Wzrastaliśmy przecież wśród bohaterów, zwycięskich żołnierzy w bitwie warszawskiej, która stała się symbolem zatrzymania nawały bolszewickiej przed Warszawą i Europą.

Gdy przed wrześniem 1939 roku napięcie od zachodu groziło wybuchem agresji, ofiarność i gotowość obrony Rzeczypospolitej była nadal powszechna. Pamiętam, będąc 13-letnim harcerzem 28 BOH, wypowiedź mojego zastępowego – maturzysty dh. Gogolińskiego: „idę na ochotnika do wojska, ale jak dadzą do taborów, to się zastrzelę!” – pragnął walczyć na bagnety. Taki przykład przeważał, ale nie zniechęcał. Mimo klęski, a po niej zbrodni i okrucieństw hitlerowskich, marzenia wcześniej zaszczone trwały.

Szeptane hasła: „Byle do wiosny!”, „im słończko wyżej, tym Sikorski bliżej!”, „Precz z margaryną, Sikorski jedzie ze słoniną!”, wiadomości z ukrytych radioodbiorników (słuchanie groziło śmiercią), umacniały przekonanie o rychłym unicestwieniu „panów tymczasowych”. Ówczesnych nastolatków pasjonowały zdjęcia generała i jego żołnierzy z naszymi POLAND na ramionach, nazywanych pogardliwie „angielskimi najemnikami”; każdy z nas chciał takim być.

W październiku 1939 władze niemieckie wydały zarządzenie o obowiązku szkolnym dotyczącym dzieci polskich, oczywiście w szkole niemieckiej. Szkolnictwo w języku polskim nie istniało. Nie było mowy o niemieckim szkolnictwie średnim dla Polaków. Ukończyłem polską szkołę powszechną i zdałem egzamin wstępny do liceum handlowego już w czerwcu 1939 r., ale mnie, 13-latka, nie przyjęto, „...byle do wiosny!”. Po sześciu miesiącach wydano mi osobiście

świadcstwo, dosłownie „Poświadczenie zwolnienia”, w którym zamiast ocen z nauczonych przedmiotów widnieją: „sprawowanie dobre – pilność zadawałająca – osiągnięcia zadawałające”, „Świadcstwo” sporządzone w myśl doktryny hitlerowskiej o niższości umysłowej Polaków znajdzie wkrótce rozwinięcie w następnym dokumencie. Na mnie, nastoletnim chłopcu po doskonałej polskiej szkole i rodzinnym wychowaniu, pełnym marzeń o zupełnie innej treści, doktrynerstwo „panów” nie robiło żadnego wrażenia. Stało się jednak dotkliwie, gdy o świcie 19 kwietnia 1940 roku do mieszkania moich rodziców przy ulicy Garbary 14, w tym czasie nieobecnych, dwóch ludzi uzbrojonych w „bagnety na broń” z opaskami „HILFSPOLIZEI” groźnie załomotało. Rozkazano mi się ubrać. Ojciec był w pracy na kolei. Mama wyszła wcześniej w poszukiwaniu pracy. Na klatce schodowej zatroskana sąsiadka, pani Nieruszewicz, zapytała: „dokąd go prowadzicie?”. Oddałem jej klucze do mieszkania. Grupę około piętnastu dziewcząt i chłopców, mieszkańców ulic Garbary i Królowej Jadwigi, doprowadzono do sali Kleinerta na ulicę Wrocławską. Podobne grupy doprowadzono z Okoła i Wilczaka. Wszystkich załadowano do ciężarówek i odwieziono do nieczynnej w tym czasie szkoły przy placu Kościeleckich. Stamtąd w ciągu dnia doprowadzono nas do „Arbeitsamtu”, czyli „Urzędu Pracy” mieszczącego się w parku przy ul. Bernardyńskiej. Po zarejestrowaniu, pod nadzorem policyjnym, rozkazano stawić się z żywnością na dwa dni i zmianą odzieży. Stałem się 14-letnim niewolnikiem Rzeszy. Rankiem 21 kwietnia peron trzeci bydgoskiego dworca zaroił się młodymi mężczyznami i kobietami oraz 14-, 15-latkami w otoczeniu umundurowanych policjantów. Gdy pociąg ruszył, dworcem wstrząsnęła zakazana, jak wszystko, co polskie w niemieckim Brombergu, pieśń „Kto się w opiekę odda Panu swemu”.

W odróżnieniu od innych regionów okupowanej Polski, w Bydgoszczy i na Pomorzu surowo przestrzegano zakazu używania języka polskiego w miejscach publicznych. Zdzierano tabliczki z polskimi nazwami ulic, zastępując je niemieckimi. Tablice nagrobne na cmentarzach niszczone. Sklepy i warsztaty rzemieślnicze należące do Polaków konfiskowano, napisy polskie zamazywano. W kościołach zakazano pieśni polskich, a jednak w pierwsze okupacyjne święto Bożego Narodzenia w kościele pw. Serca Jezusowego rozbrzmiewały polskie kolędy w języku łacińskim. Teksty przetłumaczone na kartkach sprytni ministranci rozdawali wiernym, a niedościgniony organista – Szczepan Jankowski – wyprawdzał, ściągając na plac Piastowski melomanów z odległych części miasta. Odwaga bydgoszczan w tym względzie jest zrozumiała. Należało jednak oszczędzić represji ze strony mściwych hitlerowców. Spontaniczna demonstracja polskości na dworcu nie narażała nikogo, pociąg ruszył. Celem podróży okazała się bocznicą cukrowni, nieczynnej o tej porze roku. W barakach dla robotników sezonowych przygotowano rozsypaną na podłodze cienką warstwę słomy.

Nazajutrz z naszej grupy sformowano kolumnę marszową i poprowadzono do odległego miasta. Okazało się nim Stralsund. W tamtejszym Arbeitsamcie dokonano ponownej rejestracji. Na nowych robotników rolnych oczekiwała spora grupa bauerów z pobliskiej wyspy Rugii i okolic. Przeprowadzono targ „niewolników”, lecz na placu pozostało trzech wątłych 14-latków, absolwentów szkół bydgoskich. Zostali przekazani do urzędu w oddalonym o 30 km mieście Barth. Pomimo rozczarowania miejscowych bauerów mizerną prezencją kandydatów na robotników i pod groźbą uznania niechętniej postawy za sabotaż, ostatecznie zostali zabrani do niewielkiej wioski w pobliżu miasta Franzburg.

Ferdinand Breetzke – bauer oprawca

Powitanie w gospodarstwie zgotowane przez żonę gospodarza było zdecydowanie niesympatyczne. Jej pretensje i sprzeciw wywołała moja cherlawa postura jak na robotnika. Jego porażkę i ustawiczne pretensje żony miałem niestety odczuwać z rąk bauera przez cały czas mojego pobytu w gospodarstwie. Wnet miałem poznać jego ciężką rękę, podobnie jak głowę. Na miejsce do spania wskazał mi pryzę z siennikiem na strychu, umieszczoną tuż pod krokwiami dachu. Przez szczeliny między dachówkami widać było rozgwieżdżone niebo, czasem deszczowe. Powiewy wczesnowiosennego wiatru z trudem pozwalały na sen pod lichym kocem. Często skutecznym środkiem nasennym były żarliwa modlitwa i łzy przelewane tak obficie, jak nigdy wcześniej w moim życiu.

O świcie bauer wskazał mi wiadro z wodą w stajni jako miejsce do mycia się, mydło i ręcznik miałem własne, przywiezione z domu. Podczas następnej czynności, czyszczenia koni, doszło do konfliktu. Nigdy dotychczas nie miałem w rękę zgrzebla, toteż mimo najlepszych chęci efekt mojej nieudolnej pracy, nie bez racji, rozsierdził bauera. Otrzymałem serię szturchańców potwierdzonych wyzwiskami z nakazem usuwania mierzwy spod koni i posłania świeżą słomą, którą należało zrzucić ze strychu. Bardziej domyślając się niż rozumiejąc niemieckie nazwy narzędzi, od biedy radziłem sobie z wykonaniem zadanej pracy, jednak zamiast oczekiwanej co najmniej akceptacji, posypały się na mnie ponownie ciosy i wyzwiska. Okazało się, że słoma, której używałem na ściółkę była owsiana, przeznaczona na paszę dla krów, a na ściółkę używano słomy żytniej. Po raz pierwszy w stosunku do mnie zamiast pouczenia padło słowo „sabotaż”. W związku z tym śniadanie było raczej mizerne: chleb ze smalcem i kawa zbożowa. Dalszą część dnia wypełniły prace przy ściółce chlewni oraz z motyką w polu. Na szczęście nie wymagano ode mnie prac przy krowach, o czym w ogóle nie miałem pojęcia. W tych stronach bydło trzymano od wiosny do późnego lata na ogrodzonych łąkach. Dojeżdżano tylko dwa razy dziennie zaprzęgiem konnym do udoju. Moim zadaniem było pojenie tych zwierząt, polegające na donoszeniu wody

z pobliskiej strugi i napełnianiu koryta. Bywało, że tych wiader o okazałym ciężarze donosić musiałem kilkadziesiąt po dwa razy dziennie. Wraz z kilkukilometrowym dojściem na łąkę praca ta była dość wyczerpująca. Z powodu nadmiernego ciężaru wiader ilość zadawanej wody nie zawsze była wystarczająca, a bydlę porykiwało z pragnienia. Za takie przewinienie otrzymywałem dodatkowe cięgi. Dzień pracy trwał od pobudki około 5:00 do 20:00 po nakarmieniu zwierząt. Czas w ciągu dnia wykorzystywany był do prac polowych. Obszarowo gospodarstwo nie należało do dużych, miało około 5 hektarów. Jak na jednego doświadczonego rolnika i 14-letniego wyrostka nieznającego się na pracy na roli i nieprzyzwyczajonego do pracy fizycznej w nieznanym mu dotąd środowisku było trudno. Brakowało przy tym jakiegokolwiek mechanizacji, z wyjątkiem podstawowych narzędzi, do których zaprzęgano konie.

Częste moje stany depresji, graniczące z desperacją, pogłębiały jawne szkany bauera, który nie trudząc się wprowadzaniem mnie w niezbędne umiejętności, oczekiwał ode mnie świadczenia pracy wprawionego robotnika rolnego. Takie miał oczekiwania wobec siły roboczej przydzielonej mu przez Arbeitsamt. Oprócz gróźb, straszenia mnie oddaniem na Gestapo i opisywaniem surowych metod wychowawczych, czyli bicia młodocianych krnąbrnych Polaków, takich jak ja sabotażystów, potrafił też raz po raz być sentymentalny. Twierdził mianowicie, że gdyby powiadomił mego ojca o tym, co mnie czeka, zmartwiloby go to niepomierne. Jestem niewdzięcznikiem, bo mój ojciec wdzięczny jest na pewno władzom Rzeszy, że przybywszy tu z głodującej Polski, mogę korzystać z szansy stania się solidnym robotnikiem z ulgą dla mojej rodziny. Jestem głupim niewdzięcznym łobuzem, przynoszącym jemu, bauerowi, szkody, ale oni nauczą mnie szacunku do pracy. Takie były jego codziennie powtarzane lekcje wychowawcze.

Uważał siebie za znawcę poziomu życia w Polsce, odkąd, jak mówił, podczas pierwszej wojny światowej jako żołnierz kajzera przemierzył jej północno-wschodnie obszary. Zapamiętał kurne chaty, brud i zarośniętych ciemnych chłopów odzianych w zawszawione kozuchy. Sądzę, że taki obraz przenosił na moją rodzinę w Polsce. Nie raczył nawet słuchać, gdy usiłowałem mu tłumaczyć, kim jest mój ojciec, że pochodzę z miasta i jak mieszkamy. On wiedział swoje i pomstował, że Polacy są temu winni, że jest wojna, a jego dwaj synowie, zamiast być na gospodarstwie, zaciągnięci do Wehrmachtu muszą walczyć gdzieś we Francji. Bo przecież Polacy wywołali tę wojnę, przeciwstawiając się führerowi.

Zbliżał się okres sadzenia brukwi pastewnej. Wśród sadzonek tej rośliny wyrosły także chwasty, wyglądem swoim trudne do odróżnienia od młodych pędów

brukwi. Gospodarz kazał mi iść na pole, abym te chwasty powyrywał. Działalem według własnej oceny, niepouczony i nie pytając w obawie, abym nie został zbesztany z powodu „udawania głupiego” („stell dich nicht so dumm an du Kammel), co słyszałem codziennie po kilka razy. Bauer, patrząc na moje „dzieło”, zwykle reagujący wzburzeniem, tym razem wściekł się. Trzymanym w rękubatem, jego rękojeścią, bił, gdzie popadło, stojąc nade mną, gdy pochylony nad roślinami starałem się zrozumieć, o co chodzi. Ledwie zdołałem się podnieść, kopniakami wypędzał mnie z pola. Długo nie mogłem leżeć na odbitych plecach. Teraz do lez tęsknoty doszły lzy z powodu bólu i poniżenia, jakiego bezustannie doznawałem. Do każdego przekleństwa czy przezwiska nie omieszkiał dodać, że wszystkie moje błędy są przykładem tępoty i niechlujstwa Polaków. Moje próby usprawiedliwiania się, mówiłem przecież dobrze po niemiecku, tym bardziej go rozjuszały. Uważał, że błędy popełniam umyślnie. Jego zdaniem, skoro znałem język niemiecki, musiałem wiedzieć, co robię. Działalem zatem rzekomo na złość jemu i uprawiałem sabotaż.

W przystępie kobiecego rozrzewnienia gospodyni, częstując mnie kromką chleba, zapytała, dlaczego właściwie jestem taki niegodziwy, udając że, nie znam się na pracy, skoro sam chciałem tu przyjechać, czemu teraz wywołuję ich gniew. Kiedy tłumaczyłem, skąd jestem i w jakich okolicznościach zostałem pojmany i wywieziony z rodzinnego miasta, zamyśliła się, ale nie jestem pewny, czy uwierzyła. Myślę, że w rozmowie z mężem doszli do wniosku, „że nic z niego nie będzie...”.

Muszę wspomnieć, że wobec udręki i ciągłego strachu przed reakcjami bauera, zachowanie równowagi psychicznej zawdzięczam rodzajowi odporności nabytej wcześniej w harcerstwie, które obok domu i szkoły pomagało młodym ludziom dostrzegać w każdej sytuacji drogi wyjścia i podziwiać piękno świata, choćby wydawał się on momentami niezwykle ponury. Stąd w chwilach samotności, podczas pracy w polu czy idąc na łąki, aby tam poić krowy, przechodząc obok kwitnących drzew, rosnących na poboczu drogi stokrotek, czy obserwując rozśpiewane ptaki, miałem okazję jako mieszczuch poznawać świat odmienny od znanego dotychczas, inaczej niż w regularnym parku miejskim. Nigdy przedtem nie słyszałem skowronka żyjącego wśród pól uprawnych.

Takie właśnie zajęcia umysłowe obok modlitwy wyniesionej z domu i przedwojennej szkoły stanowiły przeciwwagę dla brutalnej rzeczywistości na styku z sadystą Ferdinandem Breetzke. Wyrwany z trybu normalnej nauki w szkole, z braku innych możliwości doksztalcałem się na swój sposób, obserwując przyrodę, zachowania zwierząt, podsłuchując radiowe odgłosy płynące z okien mieszkania bauera, do którego nie miałem dostępu. W ten sposób dowiedziałem się,

o zgrozo, o upadku Francji. Takie to były źródła mojej w tamtym czasie edukacji. Tego żadna nazistowska polityka wychowawcza, zmierzająca do pauperyzacji umysłowej młodych Polaków, nie była w stanie skrzywić.

Po upływie ponad miesiąca żyjącemu w ustawicznym strachu przed oddaniem mnie Gestapo, zmaltretowanemu pracą ponad siły bauer rozkazał, abym spakował swoje rzeczy. Oświadczył, że nazajutrz zostaną odstawiony. Wcześniej wręczył mi tkaninę z fioletowym nadrukiem „P” i takimi obwolotami na żółtym tle w kształcie rombu. Dodał do tego igłę i nici, nakazując, abym te znaki przyszył do swojej zewnętrznej odzieży. O świcie następnego dnia udekorowanego świetłką literą „P” poprowadził mnie do pobliskiego przystanku „Barther Süd Bahn (BSB,) kolei powiatowej obsługującej południowe obszary Franzburg – Barth. W obawie przed czekającymi mnie razami – według Ferdinanda Breetzke miało ich być co najmniej 25 na tyłek – w mojej chłopięcej naiwności nałożyłem na siebie cały zapas bielizny, w jaki wyposażyla mnie mama, i w czerwcowy upalny dzień zostałem doprowadzony do rzekomego miejsca kaźni, którym okazał się znany mi już Arbeitsamt w Barth, z którego sześć tygodni wcześniej bauer mnie odebrał. Z pozostałymi moimi dwoma rówieśnikami już nigdy nie miałem możliwości skontaktowania się i nie znam ich losów. Jadąc koleją, Ferdinand Breetzke zdążył mi jeszcze wręczyć 2 marki, traktując to chyba jako zapłatę za pracę, gdyby o to ktoś pytał. Gospodyni wydawała się być uszczęśliwiona, nie tyle z powodu mojego odejścia, co z zasłyszanej wiadomości, jeden z jej synów zwolniony z Wehrmachtu wracał do domu.

Samokształcenie

W poczekalni Arbeitsamtu spędziłem co najmniej sześć godzin, starając się z licznych toczonych przez urzędników rozmów telefonicznych wywnioskować, która z nich dotyczy mnie i czy rychło dobiórą mi się do skóry, jak zapowiadał bauer. Około czwartej po południu usłyszałem zza drzwi: „zaraz go zobaczycie, możecie go zabrać”. Sądząc, że bliska jest chwila egzekucji, ujrzałem w drzwiach człowieka niewielkiego wzrostu o ogorzalej twarzy i spracowanych rękach, ubranego na tamtejszy wiejski sposób. Mówił wprawdzie po niemiecku, ale z jakimś swojsko brzmiącym akcentem. Prowadził mnie bocznymi ulicami miasta. Na głównych ulicach miast niemieckich człowiek oznakowany literą „P” nie miał prawa się pokazywać. Mój konwojent nie był rozmowny, przynajmniej w mieście, będąc raczej zainteresowany rowerem, którym przyjechał, aby mnie odebrać, a którego teraz, idąc pieszo, prowadził obok mnie. Gdy na końcu Chausee Strasse wyszliśmy z miasta w kierunku południowym, ukazały się wielkie hale, zrazu trudne do zidentyfikowania. Mimo że ogromnymi literami namalowany

napis głosił „Pommersche Dachpapenfabrik”, od razu było widać, że to nie może być fabryka papy. Na połaciach ścian namalowane były okna, które takimi nie były. Całość wraz z wieżyczkami, opodal ustawionymi na nich atrapami działek przeciwlotniczych i manekinami udającymi obsługę stanowisk stanowiła łatwy do rozpoznania kamuflaż. Okazało się, że wędrujemy wzdłuż rozległego lotniska; budynki rzekomej fabryki papy to po prostu hangary. Przeczuwałem, że zbliżamy się do mojego nowego miejsca przeznaczenia i że będzie się tu działo wiele ciekawego w odróżnieniu od monotonnych okolic Franzburga. Nie mogłem w najsmielszych marzeniach jednakże przypuszczać, że na skutek istnienia tego lotniska znajdę się tu za 55 lat ponownie w odmiennych zaiste okolicznościach, za sprawą owej naszywki „P” jako gość honorowy miejscowych władz.

Na razie mój konwojent zauważył moje, 14-letniego chłopaka, zainteresowanie licznymi samolotami. Uznał, sądząc, za swój obowiązek wzmocnić czujność odpowiadającą mijanymi w mieście plakatami z ostrzeżeniem w rodzaju: „Feind hört mit” albo „Deutscher sei stolz und schweige” („Wróg podsłuchuje” albo „Niemcze, bądź dumny i milcz”). Dość, że rozkazał: „idź od tej strony!”, tak aby on swoją sylwetką mógł odwrócić moją uwagę od lotniska. Raczyl też wreszcie odpowiadać na moje pytania mniej więcej tak: „gospodarstwo, gdzie będziesz pracować jest duże...”, wymienił sporą liczbę koni i bydła; „tak, bauer czasami bije, mnie też raz po raz przyłoży, jak mu podpadnę”, przy czym pierwszy raz roześmiał się. Pytania moje ubawiły go, wydały mu się naiwne, ale mnie nie było do śmiechu, przecież doświadczałem tego na co dzień. Zresztą nie byłem daleki od prawdy, sądząc, że w Niemczech bicie robotników rolnych, zwłaszcza młodocianych, to reguła. Pamiętam refren niemieckiej piosenki kabaretowej z makabrycznym tekstem o bauerze meklemburskim, który daje w skórę. Logicznym następstwem istniejącego w tych stronach XIX-wiecznego zwyczaju stało się jego odnowienie w odniesieniu do przybyłych tu zniechęconych Polaków. Po chwili wyczułem u mojego rozmówcy ton zatroskania: „czy tam, gdzie byłeś bito ciebie?”. Odpowiedź skwitował zamyśleniem, ale odpowiedział: „jeśli zasłużysz, to i tutaj dostaniesz lanie”. Idąc pustą drogą wśród pól, zauważyłem wieżę kościoła w Kenz, miejscu mojego przeznaczenia. Okazało się również, że nie jest bauerem, co też podejrzewałem. Rozgądał się z czasem, i to w języku ukraińskim, mówiąc niby do siebie: „Połaczki idu nazad, poczem German im żopu plotajet”. Tak dowcipkując, przeszedł na język polski, którym władał doskonale, chwalać Niemców i prześmiewając się z wszystkiego, co polskie; używał jedynie komentarza: „dzia-dostwo”. Czulem się zraniony. Nie mogłem jednak przewidzieć, jak szlachetną odda mi on wkrótce przysługę. Pytany, skąd tak dobrze zna język polski, uchylił rąbka tajemnicy. Podczas rewolucji w Rosji walczył po stronie generała Denikina,

po czym uszedł przed zemstą bolszewików do Niemiec, jest tutaj od 20 lat, pracując stale wśród Polaków, przyswoił sobie ich język. Nie wspominał, że ma żonę Polkę pochodzącą spod Ilży, i że przebywają wraz z synem, moim rówieśnikiem, w Niemczech na statusie bezpaństwowców. O tym miałem dowiedzieć się później od jego żony, sympatycznej pani Anieli, przybyłej tu niegdyś na saksy. Jego wypowiedzi, od zachwytych nad nazistowskimi zdobyczami po zlorzeczenia na Niemców w miarę jak chwiała się ich potęga, tudzież kpiny z Polski i Polaków, zaczęły zamieniać się w odezwania o zabarwieniu przeciwnym, brzmiały znośniej dla ucha. Nazywał się Franciszek Urbański. Był w gruncie rzeczy przyzwoitym człowiekiem. Z racji swego pochodzenia, żyjąc wśród agresywnych nazistów, nie mając obywatelstwa niemieckiego, budził u skrupulatnych Niemców, swoich sąsiadów, nawet niebędących aktywnymi zwolennikami nazizmu, podejrzliwość na skutek odmienności. Zmuszony był przez całe życie mieć się na baczności. Przypuszczam, że na metamorfozę Urbańskiego wpłynęły obok widocznych symptomów kłęski Niemiec także kontakty z Polakami zesłanymi na roboty przymusowe do fabryk w Barth, gdzie przymierali głodem. Szukając pożywienia, potajemnie ruszali na pola pobliskiego Kenz. Mogli dowiedzieć się o Urbańskich, którzy nie byli Niemcami, więc obawy o wydanie ich były mniejsze. Czynniki wśród nich wysokiej klasy specjaliści, ludzie wykształceni, potrafili przekonująco przedstawić beznadziejną sytuację Niemiec. Urbańscy nawet nie posiadali radioodbiornika, aby nie budzić podejrzeń. Nasi z Barth potrafili sami radio skonstruować i wiedzieli, co w trawie piszczy. O dyskretny kontakt było łatwo, Urbańscy mieszkali w małej chatce na odludziu w okolicy cmentarza.

Gospodarstwo, w którym wypadło mi odtąd pracować, także nie było położone w samej wsi, lecz na wzniesieniu oddalonym około kilometra na wschód. Należało ono do rodzeństwa Hagenów: Franza, Marie, Elisabeth i Ilse. W oczyma rzucała się wielka stodoła kryta trzcina z bocianim gniazdem na kalenicy. Kondygnacje przyziemia zajmowały solidna murowana stajnia ze stropem żelbetowym i pojemna obora. Koni było sześć, a bydła sztuk dwadzieścia pięć. Równoległe do stodoły stał spichlerz, chlewnia i kurnik, tworząc między nimi rozległe podwórze. Pierwsze wrażenie, jakie odniosłem, było nad wyraz pozytywne z racji bociana na dachu i dominującego zapachu rumianku, który porastało podwórze. Tam skąd przybyłem, w każdym zakątku zagrody czuć było gnojowicę, tutaj wszystko było zorganizowane przestrzennie w sposób estetyczny. Dom mieszkalny był usytuowany przy samym pachnącym podwórze, ale oddzielnie od zabudowań gospodarczych. Gdy wskazano mi miejsce do spania, niedowierzałem. Była to schludna izba z dwoma łózkami normalnie zasłanymi pościelą. W rogu stał ładny nowy piec stałopalny. Pokój był wydzielony na zapleczu domu mieszkalnego z oddzielnym

wejściem, niekolidującym z komunikacją, z której korzystali Niemcy. Drugie łóżko było zajęte przez podobnie sklasyfikowanego człowieka jak ja. Był nim młody, około 26-letni Żyd Maks Joseffi. Inni niemieccy pracownicy, a było ich jeszcze trzech, mówili o nim „Hajbjude”, jako że miał matkę Niemkę, a ojciec był Żydem. Maks pochodził z pobliskiego miasta Barth, gdzie od wieków mieszkali jego krewni i prowadzili do niedawna zakład ogrodniczy. Po konfiskacie mienia żydowskiego skierowano Maksa do pracy, wprawdzie nie przymusowo, na siłę jak mnie, ale on nie miał innego wyjścia. Był jeszcze obywatelem niemieckim, ale o ograniczonych prawach i obowiązkach, na przykład nie mógł być powołany do wojska, wątpię też czy miał prawo zawrzeć związek małżeński, ale o tym, mając 14 lat, nie rozmawiałem. W każdym razie mój współlokator czuł się Niemcem, mówił „plattdeutsch” jak inni, choć miał w odróżnieniu od nich lepsze poczucie humoru, a także wyższą wrażliwość. Mimo znoszonego od lat niedostatku, co było widać w jego odzieży, wyróżniał się kulturą bycia. Jemu pierwszemu miałem odwagę zwierzyć się z tego, co ucierpieli mieszkańcy Bydgoszczy, opowiedziałem, jak zostałem pojmany i wywieziony na przymusowe roboty. Sposób, w jaki byłem traktowany przez Ferdinanda B., zrobił na nim potworne wrażenie, ledwie mógł uwierzyć.

Moje obawy co do traktowania mnie w nowym miejscu pracy Maks starał się łagodzić. Mówił o uregulowanym rozkładzie dnia, wystarczającym pożywieniu, a nawet o czasie wolnym. Przyjmowałem jego wypowiedzi z niedowierzaniem, ale i ukrywaną radością. A może to prawda? – myślałem. Pytania: czy bywa bity, jak często i za co mogę być bity przez bauera, którego nie znałem, wprawilo go w zakłopotanie.

Maks pochodził z ogrodnictwa i znalazł się na tego rodzaju pracy, a przy tym miał łagodne usposobienie, jakie mają zwykle ogrodnicy. Nie nosił znaku w rodzaju gwiazdy Dawida, w przeciwieństwie do obowiązującego mnie „P”. Myślę, że od jego rodziny, jedynej ocalałej w Barth ze względu na „półżydowski” charakter, restrykcje nazistowskie nie były zbyt rygorystycznie egzekwowane, ale nie oszczędzono jej szykan, aż w końcu wypędzono. Adresatem szyderstw był Maks, zresztą i tutaj ze strony pracowników. Gospodarze odnosili się do Maksa poprawnie. Myślę, że wcześniej w czasach przed nastaniem reżimu nazistowskiego obie zasiedziały rodziny znalazły się i teraz udzielono Maksowi schronienia w ustronnie położonym gospodarstwie, gdzie był pożytecznym pracownikiem, nienarażonym na szykany, jak w ludnym mieście. Niebawem prześladowcy i tu go znaleźli.

Przykazania dla Niemców

Z czasem poznałem innych, takich jak ja Polaków spod znaku „P”, rozmieszczonych u bauerów w Kenz i pobliskiej wsi Rubitz. Wśród nas istniał pogląd,

że Niemcy i sposób, w jaki odnosili się do nas, wynika z ich natury nacechowanej szorstkością i pychą. Przysłowie mówiące, że „póki świat światem...”, znali wszyscy. W tutejszej rzeczywistości istotnym wyznacznikiem ich stosunku do nas były postanowienia ujęte w „Prawie pracy Polaków w Rzeszy Niemieckiej” („Arbeitsrecht der Polen im Deutscher Reich”). Nie regulowały one stosunku między pracodawcą i pracobiorcą na zasadzie umowy o pracę, lecz z góry nakazywały haniebny sposób postępowania z Polakami. Nikt z Polaków nie domyślał się nawet tak szczegółowo sformułowanych przykazań dla Niemców, odnoszących się do traktowania nas. Pamiętam tylko, że w tamtym czasie Bauer, wręczając naszywki „P”, podsunął mi do podpisania jakąś ulotkę w języku polskim. Było to zapewne zobowiązanie do przestrzegania tego „prawa”. Kolega spod znaku „P” ulokowany u Bauera w sąsiedniej wsi Rubitz miał mniej szczęścia niż ja. Musiał znosić szykany przez pięć lat, a gdy wojna się zakończyła, oprawca zginął z ręki prześladowanego.

Moje życie codzienne

Powitała mnie średnia z sióstr Hagenow – Elisabeth. Pamiętam jej piskliwym głosem wyrażone zdumienie na temat młodego wieku, dziecinnego wyglądu i wątpliwości, czy w ogóle będę nadawał się do pracy, co znów przyjąłem jako nadzieję, że może wobec tego odeślą mnie do domu. Najstarsza z sióstr, Maria, zajmowała się drobiem, chowem trzody chlewnej i ogrodem. Najmłodsza, Else, pełniła funkcję pokojowej, załatwiała kontakty związane z wyjazdami i była decementką do spraw kultury wewnątrz, grała czasami na pianinie. Jedynie ona pretendowała do wyjścia za mąż. Przyjeżdżał parę razy jakiś średniej rangi żołnierz. Ponoć przeżył, po wojnie poślubił go. Tamte dwie pozostały starymi pannami. A propos wewnątrz, nigdy nie miałem okazji w nich przebywać, nawet na zapleczu kuchennym. Konieczne w tej strefie funkcje spełniał tylko z nakazu, w miarę potrzeby, zaufany Friedrich. Muszę przyznać, że ten tercet żeńskiej części rodzeństwa doskonale dzielił między siebie obowiązki, a także tworzył zgrany zespół. Gdy z czasem wojenne straty w ludziach sprawiły, że także Szwajcarów powoływano do Wehrmachtu, cała trójka doila ręcznie dwa razy dziennie 20 krów na odległym pastwisku, dokąd dowoził je już o piątej rano niezawodny Friedrich. Szwajcarów przeżyłem na tym gospodarstwie czterech: pierwszego wcielono do wojska, drugiego wyrzucono, bo przystawiał się do panny Elisabeth, trzeciego też powołano, zaś czwarty, najstarszy z nich, był unikatem, jak na ten kraj i te czasy. Deklarował otwarcie, że jest komunistą, a nie szkalował Hitlera. Dopiero gdy ten ruszył na Związek Radziecki, zaczął głosić zadawnione pretensje, że posługuje się jego inicjałami. Szwajcar nazywał się Adolf Hahn. Dopóki swoje deklaracje,

wrogię wobec wodza, tudzież samolotów przelatujących nieustannie nad stodołą, gdzie usiłował zażywać popołudniowej drzemki, wygłaszał wśród nas, nic mu nie groziło. Zaszkozić musiało Hahnowi poranne dowożenie konwi z mlekiem na stację kolejową. Czas oczekiwania na pociąg dowożący ludzi do pracy i konwie do Barth nasz Szwajcar urozmaicał pasażerom tyradami krytykującymi Hitlera i nazistów. Skończyło się tak, że Adolf Hahn zniknął bez wieści. Następny w roli mleczarza byłem ja. Dla mnie też okoliczności związane z tą funkcją mogły zakończyć się tragicznie za lat parę. Na razie było lato 1940 roku. Całe Niemcy w euforii, upojone zwycięstwem nad Francją liczyły na rychłe pokonanie Anglii i zakończenie wojny.

Po obfitych żniwach do ogólnego zadowolenia doszła dobra współpraca z ZSRR, skąd do Niemiec na mocy umów handlowych płynęły strumienie ropy naftowej, rud metali i innych surowców strategicznych. Hitler głosił rychłe zwycięstwo Wielkiej Brytanii. Władza radziecka chętnie przyłożyła się do tego dzieła niszczenia ostoi kapitalizmu rękami Niemców. Mało znanym aktem „przyjaźni” obu państw totalitarnych jest potajemne umożliwienie w ramach życzliwej współpracy przejścia niemieckiego krążownika „HSK Komet” sowieckimi i północnymi wodami terytorialnymi przez Cieśninę Beringa na Pacyfik w lipcu i sierpniu 1940 roku. Przetarcie tego szlaku przez lodolamacze „Lenin”, „Stalin” i „Kaganowicz” uczyniło tę wyprawę możliwą na wyłączne życzenie „Kriegsmarine”. W efekcie „HSK Komet” w ciągu 16 miesięcy trwającej operacji na Pacyfiku zaskoczył Brytyjczyków niespodziewających się niemieckiego rajdera na tym odległym akwenie, zatapiając 9 frachtowców, a jeden obsadzony niemiecką załogą odsyłając jako przęgę do portu w okupowanej Francji. Była to dotkliwa strata dla samotnie w tym czasie walczącej Anglii. Sam „Komet” zawinął w listopadzie do Hamburga. Wydawało się, że sukcesom niemieckim nie będzie końca. Wieści o powodzeniu niemieckiej marynarki, nawet poufne, rozchodziły się w tych nadmorskich okolicach dość łatwo. Nie do ukrycia były na przykład potężne detonacje pochodzące z położonego w tej strefie ośrodka rakietowego Peenemünde.

Stan uniesienia wśród Niemców nie zmienił w niczym „odnoszenia się do nas, Polaków”. Willy, mój rówieśnik, członek „Hitlerjugend”, z upodobaniem docinał Maksowi i mnie, wytykając naszą gorszą klasyfikację rasową. Żywe było w tamtejszym społeczeństwie przekonanie o słuszności postępowania władzy nazistowskiej w okupowanych krajach, a „bydgoska krwawa niedziela” stała się hasłem uzasadniającym represje odwetowe zwane potocznie „kurzer Prozess”, czyli „krótki proces”, co oznaczało doraźną egzekucję podejrzanego bez procesu sądowego.

Kiedy z rozmów ze mną niemieccy pracownicy dowiedzieli się, że pochodzę z Bydgoszczy, zwątpili, czy to jest możliwe. Nie mieściło im się w głowach, aby

władze mogły sprowadzać Polaków z tego „ośrodka zbrodni” na tutejszą szlachetną ziemię. W odniesieniu do mnie tłumaczyli to sobie w osobliwy sposób. Zakładając, że mówię biegle po niemiecku i chodziłem do niemieckiej szkoły, określili mnie mianem „Deutschpole”, co miało oznaczać, że jestem wprawdzie Polakiem, ale poddanym Niemcom. Pojęcie to mogło pochodzić z czasów zaboru pruskiego, tylko że noszone „P” utrudniało zakwalifikowanie mnie jednoznacznie jako osobnika zasługującego na równorzędne traktowanie. Zachęcali mnie nawet, abym odpruł owo „P”, ale jak pogodzić to z „przykazaniami” władzy, no i moim wrednym bydgoskim pochodzeniem? W końcu akceptowali mnie przy wspólnym stole, choć porcje dla mnie były mniejsze. Tego pilnowała wydzielająca pani Elisabeth, ku satysfakcji pozostałych stołowników. Urbański ze wspólnych posiłków nie korzystał, był tak zwanym deputantem, któremu posiłki gotowała żona.

Więść o pobycie w Kenz osobnika pochodzącego z „miasta zbrodni” wkrótce obiegła miejscową, niewielką społeczność. Szczególnie wystraszone tym faktem były dzieci. Pewnego dnia w drodze do wsi szła w moim kierunku grupa dzieci szkolnych. Gdy mnie z daleka rozpoznały poszeptały między sobą i biegiem zawróciły. Rozpierzchły się, widząc moje żółte „P”. Innym razem w upalną niedzielę wolną od pracy, przechodząc obok gospody, o której Willy opowiadał, że jest tam świetna „brauza”, czyli oranżada, wszedłem, prosząc o napój. Stojący za bufetem karczmarz Rienow, widząc moje „P”, odpowiedział: „tobie nie wolno mi nic sprzedawać, idź sobie”. Mimo że działo się to 75 lat temu, ten fakt i słowa doskonale pamiętam, ale dziś rozumiem. On mi wówczas przekazał „chce, ale nie może”, bo mu nie wolno. Opowiedziałem Willemu o tym i poczęstowałem „kanoldami”, które jeszcze mi z domu zostały. Willy oniemiał, były to nieznane tam cukierki grylazowe, które jeszcze trzy miesiące temu mama dała mi na drogę. Zabrał ich garść ze sobą do domu, aby podzielić się ze swoją mamą i rodzeństwem, mimo że było to wykroczenie przeciw „przykazaniom”. On mógł o nich nie wiedzieć, ale postanowienia te były młodym ludziom wpajane na zbiórkach „Hitlerjugend”. Odtąd coś się w nim zmieniło. Przestał odzywać się do mnie lekceważącym tonem i kpić z Polski. Zaczął samodzielnie myśleć. Oglądał moją odzież, obuwie, mówiąc: „że wy w tej Polsce macie takie dobre rzeczy..., no... no”. Proponował za namową swojej matki, abym poprosił moją mamę o nadesłanie różnych rzeczy dla jego młodszego rodzeństwa, ona chętnie zapłaci. To wykraczało już zupełnie poza ramy „przykazań”. Trzeba wiedzieć, że w Niemczech od początku wojny obowiązywała reglamentacja wszelkich artykułów odzieżowych i spożywczych, zaś słodczy, czekolady czy kawy nie było w sprzedaży w ogóle, chyba na specjalne nikle przydziały z racji świąt. Polacy na przymusowych robotach w rolnictwie przydziałów w ogóle nie otrzymywali, ponieważ

bauerzy uważani byli za samowystarczalnych („Selbstversorger”) i do nich należało wyżywienie robotników polskich, a czynili to według swego widzimisię, co dało się z czasem odczuć nawet u przyzwoitych Hagenowów. Z pobliskiego Barth przybywali po kryjomu na wieś nasi rodacy pracujący w przemyśle. Przydziały, jakie oni otrzymywali, były głodowe. Z trudem udawało im się ukraść z pola kilka ziemniaków, które ucierali na placki smażone na podkradonym w fabryce oleju do hartowania metali. Wielu z nich na skutek spożycia tego tłuszczu poważnie zachorowało.

Miejscowa ludność niemiecka wiedziała o niedostatkach robotników przymusowych, przyjmując ten fakt jako rezultat winy i kary na złych Polaków. Boleśne było naigrywanie się z tego, co nam było drogie. W moim „gronie” celował w tym zwłaszcza pierwszy ze Szwajcarów. Zadawał mi na przykład pytanie: „co przedstawia godło Polski?”, na odpowiedź, że to Orzeł Biały, zaprzeczył: „nie, to wrona...” – rozległ się rechot pozostałych oprócz Maksa. Na stwierdzenie moje, że wrony nie bywają białe, omal mnie nie uderzył. Nie warto było sprzeczać się z nazistami, broniąc swoich racji. Znaleziona u mnie polska książeczka do nabożeństwa stała się tematem kpin. Górował w tym „Hitlerjunge” Willy. Odczułem trwogę. Nikt z nas nie odważyłby się profanować przedmiotów kultu religijnego. Myślę, że po lepszym poznaniu się, Willy wstydził się swojej arogancji. Na razie ulegał wpływowi nauk głoszonych przez instruktorów Hitlerjugend. Z czasem zdarzało mu się zdobyć innego rodzaju wiedzę, która być może przyczyniła się do jego ocalenia, kiedy po paru latach znalazł się jako żołnierz niemiecki pod ogniem partyzantów Tito.

Nadeszła pora spotkania z szefem. Odpowiednio do moich dotychczasowych doświadczeń i relacji Urbańskiego, jak potrafi przylać, spodziewałem się ujrzeć chłopa o zwalistej posturze. Tymczasem stał przede mną człowiek przypominający pająka. Był przeraźliwie chudy i do tego garbaty w unikatowy sposób; miał dwa garby: jeden „normalny”, a drugi na piersiach. Niezwykle długie cienkie ręce i nogi odziane w obcisłe dołem bryczesy i buty z cholewami, co uchodziło w Niemczech za atrybut autorytetu, oficjalnie wspieranego przez nazistów „Bauernstandu”, w jego przypadku za karykaturę owej „klasy chłopskiej”. Koścista ptasia głowa, dziewczęca cera bez zarostu i piskliwy głos dopełniały wizerunku „szefa”. Na powitanie ręki mi oczywiście nie podał. Między pracownikami nigdy nie dopuszczano się aluzji do wyglądu szefa ani z niego nie żartowano. Budził respekt, a nawet szacunek, chyba dlatego, że od niego dużo zależało. Z pewnością był mózgiem gospodarstwa. W pracach polowych udziału nie brał, najwyżej podczas żniw prowadził konie przy zwózce plonów. Niewątpliwie miał wykształcenie rolnicze. Spędzał czas głównie za biurkiem. Efekty jego wiedzy były wi-

doczne w doborowej hodowli bydła, zbiorach pszenicy i buraków cukrowych. Rzadkie w czasie wojny przydziały maszyn, preparatów paszowych czy środków chemicznych Hagenow otrzymywał często. Siłę charakteru wykazał, jak dowiedziałem się po latach, gdy w dni klęski plądrujący dom żołnierze sowieccy grozili mu rozstrzelaniem, jeśli nie wyda im zegarka, złota i kosztowności. Hagenow uparcie twierdził, że niczego z tych rzeczy już nie ma. Żołnierze widocznie zlekceważyli jawiącego się im jako nieudacznika z rodzaju Quasimodo i dali mu spokój. On tymczasem miał ukryty na sobie cenny złoty zegarek z dewizką, z którym obnosił się nawet podczas prac w polu, nadając sobie wygląd jeszcze bardziej komiczny. Kiedy po latach odwiedziłem rodzinę Urbańskich, nikt z rodzeństwa Hagenowów już nie żył.

Maloletni polski mentor

Opisując po latach moje przeżycia, dostrzegam dozę sentymentu do tych miejsc i ludzi. Nie dotyczy to z pewnością pamięci miejsca, gdzie zetknąłem się po raz pierwszy w życiu z obcym dla mnie światem, sposobem bycia i przymusem do pracy, jakiej nie rozumiałem, gdzie zamiast wprowadzenia i objaśnienia doznałem obok udręki psychicznej brutalnego znęcania się fizycznego. Niechętnie wracam myślą do okolic Franzburga, podczas gdy wspomnienia z Kenz układają się w końcowy obraz pozytywnych skojarzeń. Zwłaszcza stosunki międzyludzkie ułożyły się tam całkiem poprawnie, wbrew zamierzeniom nazistowskich władz.

Jeszcze Willy próbował przenosić hasła w rodzaju: „Kämpfen, Siegen nie Erliegen!” (Walczyć, zwyciężać, nigdy nie ulegać!), prowokując mnie na przykład do udania się pod Franzburg, aby „dać po mordzie” Ferdinandowi Breetzke albo pobić Friedricha, naszego kolegę z pracy, bo mu się nie podobał jego brak gorliwości w poglądach nazistowskich i wstrzeźliwość podczas napaści słownych na Maksa „wiecznego Żyda” albo „Żyda zdrajcy”, jak mawiał. W kołach nazistów taki styl, także w odniesieniu do Polaków, uchodził za pożądany. U Willego nauczona potrzeba walki zaczynała obierać odmienny kierunek niż instruowany. Dostrzegał niesprawiedliwość na moim przykładzie, czego dowodem była niedoszła odwetowa „wyprawa na Ferdinanda”.

Zauważyłem, że w domu Hagenowów oraz ich życiu codziennym nie było kultu Hitlera ani nazizmu w takim stopniu, jak to było w Niemczech powszechne, a zwłaszcza we włączonej do Rzeszy Bydgoszczy. Wprawdzie bardziej rozmowna Elisabeth wyraziła się kiedyś z troską na temat, co spotka Niemcy po wojnie, ale mając na myśli zwycięstwo, powiedziała: „co zrobimy z tą obcą masą ludzką, jeśli nie będą chcieli dla nas pracować?”. Pojęcia widać nie miała ani jej miejscowi współrodacy o wprowadzonych metodach wyniszczania milionów ludzi.

Wkrótce, wraz z rozwojem wypadków wojennych, miało to mieć miejsce także w Barth.

Wśród mieszkańców Kenz trwały, choć utajone, tradycje religijne. Tutejszy ewangelicki pastor tytułowany „Superintendent” sprawował swoje funkcje w sposób efektywny. Friedrich, dzielny pracownik, regularnie chodził do kościoła i chętnie na tematy religijne rozmawiał. Mocną pozycję miejscowego pastora tłumaczył tym, że jest on kapitanem rezerwy kawalerii i jako oficer Wehrmachtu budzi respekt. Żaden z tutejszych nazistów stopnia oficcerskiego nie miał, a to wśród Niemców zawsze dużo znaczyło.

Kiedyś w paszarni, przygotowując drewno pod parnik do ziemniaków dla świń, zauważyłem obok boksu opałowego stos czasopism. Tęsknota do słowa drukowanego sprawiła, że począłem je wertować. Były to stare, pochodzące z lat dwudziestych, wydawnictwa kościoła ewangelickiego. Nie oddano ich wbrew zaleteniom do zbiornicy makulatury, być może, aby nie ujawniać związków w organizacjami religijnymi. Sposób, w jaki postępowali Hagenowie, ich łagodność w obchodzeniu się ze mną, człowiekiem bądź co bądź gorszej rasy, dalekie były od ich brutalnej szorstkości. To dawało do myślenia na tle ogólnie dominującej buty niemieckiej. Widać było, że „oddają cesarzowi co cesarskie...”, lecz ani odrobinę więcej.

W hierarchii roboczej społeczności stałem oczywiście najniższej, to też nie dane mi było zamienić choć kilku słów z osobami na szczycie, to znaczy z kimkolwiek z rodzeństwa Hagenow. Od tego był Urbański. Rozmowy ze mną, związane z pracą, prowadził tylko po niemiecku, gdy w pobliżu był jakiś Niemiec. Z czasem pogaduszki o polityce, żarty z Niemców prowadziliśmy oczywiście po polsku, bywało, że w obecności Willego.

Częściej tematem ubocznym stały się narzekania, a to jakoś beznadziejna materiałów, braki artykułów przemysłowych, po drwiny z „germańskiej kultury”. Coś psuło się u tego germanofila w poglądach na ich wyższość.

Z czasem „Hitlerjunge” Willy przestawał kpić, znajdując w rozmowach moich z Friedrichem nieznane mu lub lekceważone dotąd przekazy odmienne od tych, w które miejscowy dowódca Hitlerjugend kazał wierzyć. Dogodnym czasem do rozmów były przerwy obiadowe trwające aż półtorej godziny. Obowiązywał zresztą ściśle przestrzegany porządek dnia pracy: latem od 7:00 do 19:00, zimą od 8:00 do 16:00. Wobec mnie ten system nie był przestrzegany. Zimą kierowany byłem do pracy w oborze, gdzie robota nie kończyła się nigdy. Ten okres był dla mnie wyjątkowo ciężki.

W czasie przerw obiadowych, słuchając, o czym Niemcy rozmawiają, mogłem wyrobić sobie pojęcie o tym, co dzieje się na świecie. Willy raz po raz przynosił

nazistowskie czasopisma młodzieżowe. Z nich, pomijając propagandę, można się było dowiedzieć o postępie technicznym w uzbrojeniu, o samolotach z możliwością konfrontowania opisów z ustawicznie nad nami przelatującymi różnymi typami maszyn z pobliskiego lotniska. Jak się okazało, były one także produkowane w zakamuflowanej „fabryce papy” i tutaj oblatywane. Odczuwałem potrzebę wiedzy. Doraźna lektura makulatury i tendencyjnych czasopism niemieckich nie mogła zastąpić rzetelnego kształcenia, którego byłem pozbawiony. Wracalem pamięcią do szkoły polskiej. W czasie przerw wypełnianych rozmowami opowiadałem prostym Niemcom o tym, co wiedziałem na przykład o pobliskim Stralsundzie, że to słowiański niegdyś Strzałów i że przylądek Arkona na Rugii to dawny słowiański ośrodek kultu.

Willy protestował, bo to nie pasowało do jego poglądów, ale Friedrich nie zaprzeczał. Miałem jeszcze w pamięci, że w podręczniku dla klas VI była czytanka pt. „Koń Swantewita”, to był mój argument. Dowiedziałem się przy okazji, że widoczny ze wszystkich stron kościół w Kenz jest miejscem wiecznego spoczynku księcia pomorskiego Barnima I, zmarłego tutaj w 1405 roku po bezskutecznej próbie kuracji wodą z miejscowego cudownego źródła, do dziś nazywanego „Wunderquelle”. Rzeźba przedstawiająca księcia znajduje się na sarkofagu wewnątrz świątyni. Sam gotycki kościół zbudowany w XIV stuleciu zdobią zabytkowe witraże. Mimo niekultuwanego przez ewangelików dawnego sanktuarium przetrwała w tym miejscu nazwa Sancta Maria Pomerana.

Miejscem, do którego ciągnęło mnie niepomierne, było miasto Barth, odległe zaledwie o 5 km. Wychowany w mieście po prostu tęskniłem do atmosfery, jaką tworzyły ciągi ulic z oknami wystawowymi, przechodnie, pojazdy, gwar, a nawet zapachy. Wiedziałem, że Barth leży nad Bałtykiem, a więc dodatkową atrakcję mógł stanowić port, statki, jeszcze rok temu oglądane w Gdyni w czasie ostatnich wakacji. Z rozmów, jakie toczyli Niemcy, usłyszałem, że w porcie pracują jeńcy wojenni. Bardzo pragnąłem ujrzeć mundur żołnierza polskiego, choćby był w niewoli. Sposobność ku temu znalazła się niebawem. Podczas rąbania drewna na opał, czynność tę lubię do dziś, usłyszałem odgłos samolotu do tamtej pory mi nieznany. Wszelkie warczące junkersy, heinkle, focke-wulfy, melodyjne jak organy, łodzie latające oraz dornierzy i inne, potrafiłem rozpoznawać po dźwięku. Ten był inny. Zadarłem głowę i oniemiałem. Nieznany miękki szum pochodził od cudownie zwrotnego dwusilnikowego samolotu, niewidzianego dotąd nawet na ilustracjach. Był nim, jak się później dowiedziałem, amerykański bombowiec typu „Martin” (zdobyty na Brytyjczykach, jak usłyszał Willy od żołnierzy z pobliskiego lotniska). Owa chłopięca fascynacja tym samolotem mogła być zakończona dla mnie kalectwem. Ostrze siekiery zamiast w drewno trafiło w palec

wskazujący lewej ręki i po kości spadło na pieniek, a z nim dużo krwi. Ból był potworny. Osobą, która założyła mi opatrunek, była Elisabeth, ale rana wymagała interwencji lekarza. Nazajutrz wręczyła mi przepustkę wystawioną przez „Gemeindevorstehera” (wójta) i pieniądze na bilet kolejowy do Barth. Lekarzem znanym i sławionym tutaj do dziś był dr Freytag. Obecnie jego syn kontynuuje praktykę w tym samym miejscu. Po zaaplikowaniu zastrzyku, opatrunku i krótkim odpoczynku zostałem zwolniony. Mogłem wreszcie powędrować po mieście. Od rynku, gdzie mieści się gabinet dr. Freytaga, do portu jest blisko. Tam rzeczywiście jacyś żołnierze przeladowywali baloty makulatury ze statku na wagony kolejowe. Nie byli to jednak Polacy, lecz jeńcy francuscy wzięci niedawno do niewoli. Wszystko, co było w zasięgu moich oczu, chłonałem z ciekawością. Żyłem miastem, choć było ono niewielkie, ale wszelkie obserwacje dopełniały moją potrzebę wiedzy. Kształciłem się, jak mogłem. Wśród odkrytych w boksie na opał czasopism znalazłem kiedyś artykuł na temat historii Barth. W latach wojny rozwijano wokół miasta ośrodki szkoleniowe Luftwaffe i zakłady produkcyjne samolotów. Świadczył o tym także duży ruch na jedynej linii kolejowej łączącej Barth ze światem, przebiegającej tuż obok zabudowań gospodarstwa Hagenowów. W przeciwieństwie do najnowszych informacji historycznych kolportowanych przez nazistów, gdzie skrętnie pomijano wszelkie wzmianki o słowiańskości czy polskości, znalezione wcześniej wydane czasopisma niemieckie przedstawiały prawdę historyczną.

Pewnego dnia pojawił się miejscowy aktywny nazista, wypytując o Maksa. Chodziło mu o rzekomą kradzież zboża, której mój współlokator miał się dopuścić. Przestraszyłem się nie na żarty. Dowiedziałem się od Maksa, że chcąc pomóc głodującemu w mieście ojcu, poprosił szefa, aby mu pozwolił pozbierać kłosa pogubione na ściernisku i pozyskać trochę ziarna. Hagenow pozwolił. Ktoś, być może Willy, żywiący nieustanną nienawiść do Żyda, doniósł, że Maks chodził nocą wśród ustawionych na polu, gotowych do zwózki snopów i obcinał kłosa. W izbie, którą zajmowaliśmy, znalazł się woreczek, w nim garść kłosów, a nawet nożyczki, czego Maks ani ja nigdy wcześniej nie widzieliśmy. Domyślam się, że zostały podrzucone. Takiego wyjaśnienia z mojej strony nikt nie chciał słuchać, przecież byłem uważany z góry za niewiarygodnego. Im wystarczyło, że widziałem. Maks wkrótce niespostrzeżenie zniknął. Tylko Urbański, a także zwykle niedostrzegający mnie Hahn, szepnęli mi: „ty się wystrzegaj tego Willego”. Myślę, że nie był on regularnym donosicielem, tylko został koniunkturalnie wykorzystany przez członków Hitlerjugend do wykazania się zasługą w „oczyszczeniu kraju z niedobitków elementu żydowskiego”.

Trwała mobilizacja gospodarcza i sił ludzkich. Szeptano, że szykuje się inwazja na Anglię. Tymczasem Niemcy przygotowywali najazd na Związek Radziecki.

Udając naiwnego, gratulowałem kiedyś Willemu cennej wówczas przyjaźni z tym wielkim mocarstwem, ale mało kto w Niemczech w tę przyjaźń wierzył. Żołnierzy Wehrmachtu, których wcześniej zwalniano do ich miejsc pracy, teraz powoływano ponownie. Nawet ojca Willego, starszego człowieka, też wcielono. Służył jako wachman w obozie Gross Born i nie był narażony na delikty wskutek działań bojowych, ale deliktem dla duszy Willego stały się prezenty, jakie tata wachman przywoził na krótkie, natomiast dość częste urlopy weekendowe. Od pilnowanych przez niego Anglików otrzymywał, pewnie z wdzięczności za drobne przysługi, a to paczkę kawy albo kakao, puszkę sardynek albo czekoladę i inne niedostępne w Niemczech delicje. Zaprzestał już wcześniej nagabywać mnie o cukierki z Polski. Teraz przynosił na rozmowę ze mną komentarze rodzinne. A to, że z jednej strony fanfary na cześć bliskiego zwycięstwa nad Anglią, a tymczasem, im tam powodzi się lepiej „oni wszystko mają... nawet w niewoli”. Ich własne niedostatki tłumaczyli ceną za zwycięstwo, które z pewnością nastąpi.

Aby uzupełnić siłę roboczą, zwalniano polskich jeńców wojennych – oprócz oficerów – proponując im statut tzw. Zivilgefangener, czyli na warunkach robotnika przymusowego, pozbawionego uprawnień wynikających z konwencji genewskiej. Los naszych żołnierzy decydujących się na „podpisanie zdrady”, jak niektórzy mówili, poprawił się o tyle, że nie musieli przebywać w zamkniętych obozach pod strażą uzbrojonych wachmanów, ale skierowani do pracy, przeważnie na majątki, mogli dowolnie korespondować z rodziną w kraju, otrzymywać lichą zapłatę oraz wyżywienie według uznania bauera. Obejmowały ich takie same rygory jak nas, a w razie ucieczki jeszcze gorsze.

Pewnego dnia przybył do gospodarstwa Hagenowów nowy człowiek. Był nim ni mniej ni więcej tylko odziany w zadbane mundur żołnierza polskiego „Zivilgefangener”. Przydzielono go, jak należało przypuszczać, w miejsce brakującego Maksa i powołanego w miejsce Szwajcara. Miał imponującą postawę: wysoki, barczysty, a co najważniejsze – znał się na gospodarce rolnej. Pochodził z Polesia, ale nie lubił się do tego przyznawać. Nazywał się Gerasim Gerasimczuk. W przedwojennej Polsce Poleszuk kojarzył się niektórym z brodatym ciemnym chłopem: analfabetą, ociężałym, w łapciach na nogach. Mój nowy współlokator był zaprzeczeniem tych nieuzasadnionych i krzywdzących stereotypów. Znał się nie tylko na pracach polowych i zwierzętach hodowlanych, potrafił wykonywać prace ciesielskie i siodlarskie. Tam, gdzie zawodził regulaminowy porządek niemiecki, on zdrowym chłopskim rozsądkiem potrafił rozwiązać niejedyn problem.

Zaciągnięty do wojska polskiego ze wsi Stochodem odbył obowiązkową służbę w pułku piechoty w Brodnicy. Był wyszkolonym podoficerem, co nie miało

być bez znaczenia dla mnie. Walczył na Pomorzu i pod Kutnem, gdzie dostał się do niewoli niemieckiej. Mówił o sobie, że pochodzi z Wołynia, ale nie ukrywał, że czuje się Białorusinem. Język polski, choć z akcentem kresowym, miał świetnie opanowany, pisał poprawnie po polsku i – jak mi się wydaje – po białorusku. Szkoła polska i wojsko usposobiły go niewątpliwie patriotycznie do Polski, choć dzielił to uczucie także wobec Białorusi. Istniała wprawdzie w Sowietach republika białoruska, ale od tej formacji odżegnywał się.

Niemcy, chcąc pozyskać mięso armatnie, starali się wyluskać etnicznie odrębne narodowości spośród jeńców wojennych. Znane są ówczesne oddziały Azjatów, ukraińskie i rosyjskie, tworzone w ramach Wehrmachtu. Podobnie chcieli posłużyć się Białorusinami. Gerasim korespondował z utworzonym w Berlinie Białoruskim Komitetem Narodowym. Otrzymywał wydawaną przez tę organizację gazetkę pod nazwą „Ranica” pisaną cyrylicą. Przy okazji poznałem ten alfabet, co też poszerzyło moje horyzonty. Śledząc tę lekturę, byłem w stanie zorientować się, że nie zawiera ona akcentów szowinistycznych wobec Polski, która według nazistów nie istnieje i istnieć nie będzie, natomiast obiecywano Białorusinom przebywającym w Niemczech walkę wyzwolenczą pod własnym sztandarem i niepodległą Białoruś w oparciu o wielkie Niemcy. Gerasim nie wierzył – jak mówił – w te obietniki, odczuwał natomiast potrzebę walki o swoje należności obiecane przez władze obozowe za pracę wykonywaną na rzecz Rzeszy. Pisma do centralnego zarządu obozów pozostawały bez odpowiedzi. Czuł się okłamany, ale miał nadzieję, że ów komitet mu to załatwi. Już nie był jeńcem ani robotnikiem przymusowym, nie musiał nosić „P”, lecz formalnie zrobiono go sojusznikiem Rzeszy. Gazetkę poczta doręczała regularnie, ale oczekiwanej zapłaty Gerasim nigdy nie otrzymał.

Kompetencje Gerasima sprawiły, że Urbański i Friedrich, dwa filary sprawnego funkcjonowania gospodarstwa, poczuli się w swej autonomii zagrożeni. Dziwne było, że tamci dwaj pochodzący – jak mówili – z Ukrainy, nigdy ze sobą nie rozmawiali po ukraińsku, lecz zawsze po polsku. Gerasim nie znał niemieckiego. Friedrich miał przewagę zasadniczą nad nim; był Niemcem, mówił plattdeutsch i był zaufanym szefostwa od lat. Natomiast rywalizacja między Gerasimem i Urbańskim o względy szefa z czasem doprowadziła do bójki. Gerasim jako nowy w tym środowisku powinien mniej ostentacyjnie podlizywać się szefostwu, zwłaszcza paniom, dla których nieproszony zawsze wynajdywał przysługę nie do odrzucenia.

Do mnie Gerasim odnosił się nadzwyczaj poprawnie. Sądzę, że mimo moich lat cenił moją „pańskość” przejawiającą się w sposobie wyrażania się, miejskim pochodzeniu, wiedzy nabytej w polskiej przedwojennej szkole i biegłej znajomości języka niemieckiego. Był ze mną bardziej szczery niż ktokolwiek z mojego

otoczenia. Należę do pokolenia, które wychowane tuż po odzyskaniu niepodległości było niezwykle wrażliwe na punkcie Ojczyzny i wysoko cenilo służbę wojskową. Każdy chłopiec chciał być żołnierzem, a każda dziewczyna preferowała na męża chłopaka „po wojsku”. Oto pojawił się w moim ubogim życiu rzeczywisty, wyszkolony i zahartowany w bojach wrześnieowych doświadczony żołnierz. Mogłem teraz do woli pytać, rozważać i... uczyć się od niego. Gerasim miał talent narratorski. Do pracy w polu Urbański przeważnie kierował Gerasima, Willego i mnie. Tak zdobyłem sporą wiedzę o wojsku, od zasad współżycia między żołnierzami i codziennego sprytu, budowę karabinu i funkcjonowanie karabinu maszynowego, którego był celowniczym, po zasady krycia się pod ogniem nieprzyjaciela, maskowania i inne praktyczne rady przydatne w życiu żołnierza. Willy słuchał mojego tłumaczenia, sam zresztą po latach przebywania między nami osłuchiwał się z językiem, sporo rozumiał, nawet mówił nieco po polsku. Prawie cztery lata wśród nas zmieniły chłopaka, który przestał być fanatykiem ślepo wierzącym w hasła nazistowskie, a stał się rozważnym, chłonącym praktyczną wiedzę młodzieńcem.

Z rodzicami utrzymywałem kontakt listowny. Mama przysyłała mi książki polskie, które jak mi się wydaje, nie były tu zabronione, w przeciwieństwie do Bydgoszczy. Czytałem je w przerwie obiadowej, wieczorami i w niedzielę. Willy, obserwując mnie, dziwił się, pytając z przekąsem: „czego mądrego w tych polskich książkach możesz się dowiedzieć?”. Odpowiadałem: „jutro ci opowiem!”. Rzeczywiście nazajutrz nie dał za wygraną i w ten sposób dzień po dniu poznawał w odcinkach relacje z czytanej przeze mnie powieści Kraszewskiego „Mistrz Twardowski”, ubarwione oglądaną przed wojną wersją filmową tego dzieła, a także powieść „Banita” tegoż autora. Doszły do tego nowele Konopnickiej, Sienkiewiczza i inne. Czasami męczyły mnie te opowiadania przypominające sprawdziany szkolne z przeczytanych lektur, ale Willy potrafił być natarczywy i domagał się, mówiąc: „Erzähle weiter von Pan Twardowski” (opowiadaj dalej o panu Twardowskim). Chłopakowi najwidoczniej brakowało tak fascynujących opowieści o czarownikach i siłach nadprzyrodzonych. Moje relacje opłaciły się w sumie i jemu, i mnie. Ćwiczyłem język niemiecki, posługując się literaturą polską jak zaczątkami tłumaczenia, a Willemu wymuszone tym sposobem refleksje pozwoliły spojrzeć innym wzrokiem na świat. Być może pomogły mu uchronić się przed „bohaterską śmiercią za führera”. Wcielony do Wehrmachtu wpadł w zasadzkę utworzoną przez partyzantów jugosłowiańskich. Pamiętając opowieści Gerasima o postępowaniu rozsądnego żołnierza, ukrył się w rurze odwadniającej pod szosą i po ustaniu strzelaniny począł u wylotu rury wołać głośno jak potrafi, używając poznanych słów polskich. W ten sposób zaciekawieni

partyzanci młodzieńca oszczędzili i zatrudnili w kuchni polowej, gdzie do końca wojny szorował kotły i obierał ziemniaki. Jako jedyny z młodych mieszkańców Kenz zabranych na wojnę przeżył i wrócił. Dowiedziałem się o wszystkim od Urbańskich znacznie później, gdy Willy już zmarł. Pochowano go na tutejszym wiejskim cmentarzu.

W Kenz przebywało oprócz mnie jeszcze kilku starszych ode mnie Polaków ujętych w podobnych polowaniach, przeważnie z Włocławka. Chętnie w wolnych chwilach przebywałem wśród nich. Ich bauer, Neuhaus, traktował Polaków poprawnie, ale odpowiednio do „przykazań”. Toteż z trudem wytrzymywali oni obcy im tryb życia, podobnie jak ja tęsknili do rodzin, do nauki lub własnego zawodu i sposobu życia. Zdarzyło się, że najbardziej wrażliwy z nich 18-letni Bolek uciekł. Mijały tygodnie, nie było wiadomości o nim. Czyżby mu się udało? Po upływie trzech miesięcy wrócił całkowicie odmieniony. Zwykle pełen temperamentu, był teraz osowiały, wystraszony i małomówny, miał zniekształconą twarz i złamany nos. Wszystko to skutkiem osadzenia go w „obozie wychowawczym” na statku „Bremerhaven” zacumowanym na Odrze w Policach. Został ujęty na dworcu kolejowym w Szczecinie, gdzie przechodzącego zwęszył pies policyjny. Każdy z nas nosił w sercu myśl o wydostaniu się z przekłetej, bo wymuszonej na nas sytuacji, ale słowo „Polic” wymawiane było jak ponure memento.

Pewnego wiosennego dnia z nakazu wydanego w tajemnicy przed Polkami podstawiono zaprzęgi konne i zabrano wszystkich Polaków płci męskiej, a następnie zawieziono w kierunku Barth. W jakim celu, nikt nie wiedział, nawet Niemcy. Powozili sami Niemcy, w tym zaufany Friedrich. U zachodnich wylotów ulic czekali na nas uzbrojeni mundurowi różnych formacji z policją na czele. Między utworzonym przez nich szpalerem, eskortowani przez kilku jadących na rowerach, przymuszali nas do biegu w kierunku lasu Tannenheim. Ogarnął nas niepokój już podczas biegu. Często mówiliśmy, że „w razie czego” mogą nas rozstrzelać. Takie rzeczy przecież się zdarzały. Mnie, wówczas 15-latkowi, nie przychodziło do głowy, że mogę nagle bez powodu tu i teraz stracić życie, więc przeżywałem to mniej głęboko niż starsi uczestnicy tego spędu. Po chwili jednak, gdy na polanę w środek utworzonego przez nas kręgu wjechał osobowy mercedes z dwukołową przyczepką nakrytą brezentem, a z niej wyjęto skrępowanego człowieka ze znakiem „P” i powieszono na gałęzi drzewa stojącego pośrodku, na co wszyscy musieli patrzeć, zrobiło się mi nieswojo. Byłem przerażony. Co będzie dalej? Wystąpił mundurowy funkcjonariusz ze znakami SD i trupią czaszką na czapce, oznajmiając, że ten Polak zgwałcił dziewczynkę niemiecką i każdy z nas, kto tak postąpi, będzie też powieszony. Umieścił następnie na szyi straconego tekturową tabliczkę i zapytał: „kto z was umie czytać?”. Nikt z liczby około

500 zebranych nie zareagował. SD-man chwycił pierwszego z brzegu brutalnie za kołnierz, ustawił obok powieszono i rozkazał, aby głośno odczytał napis zwisający z jego szyi. Czytającego nie było slychać. „Głośniej!” ryknął SD-man. Gdy to nie pomogło, ustawiono nas w rząd i poprowadzono po kolei tak, aby każdy z nas mógł odczytać napis (zapamiętałem dokładnie pisownię): „Rence precz od kobiet niemieckich bo ciebie pudzie jak mnie”. Publiczna egzekucja zrobiła straszliwe wrażenie. Szok, jakiego doznałem, długo mnie prześladował. Będąc już dojrzałym mężczyzną, długo cechowała mnie powściągliwość i nieśmiałość w odniesieniu do dziewcząt. Po powrocie do Kenz sami niemieccy mieszkańcy wsi zaniepokojeni, co się z nami stać może, w obawie raczej utraty rąk do pracy, dopiero dowiedzieli się o egzekucji. Bez wątplenia uznali to za akt sprawiedliwości. Do nas, Polaków, dotarła wkrótce wieść, że nie był to gwałt, lecz po prostu dwoje młodych miało się ku sobie. I zostali złapani „in flagranti” przez „eine gute Volksgenossin” (dobrą obywatelkę). Jej donos wystarczył, aby człowieka powieszono. Jaki był los dziewczyny, która dopuściła się „Rassensachande” (po hańbienia rasy), nie wiadomo. Po wielu latach miejscowi pytani o to zdarzenie uporczywie powtarzali wersję, którą podczas egzekucji głosił SD-man.

O tym, jak ludność niemiecka skrzętnie przestrzegala „przykazań”, miałem wkrótce przekonać się sam. Tylko dzięki sprytowi uniknąłem ujęcia mnie przez policjanta, tzw. „Schupo”, na dworcu w Barth. Pewnej niedzieli po nielegalnym przejściu pieszo, ścieżkami wskazanymi mi zresztą przez Willego, do jedyne-go w tej części kraju katolickiego kościoła w Barth, chciałem wrócić koleją do Kenz. Raz po raz ta sztuczka się udawała. Nastolatek, ubrany jak jego niemieccy rówieśnicy (oczywiście bez „P”), nie podpadał wśród przechodniów w mieście. Na stacji zauważyła mnie jakaś kobieta, która mnie rozpoznała, a może już od kościoła śledziła. Zgłosiła na policję. Ją samą, ukrytą za oszklonymi drzwiami dworca przy wyjściu na peron, widziałem, jak wskazuje mnie policjantowi. Stałem na peronie, zaraz wskoczyłem do wagonu i wyskoczyłem po drugiej stronie. On natomiast poszedł wzdłuż wnętrza wagonów, szukając mnie. Dobięłem peronem do wagonu bagażowego, on zawrócił wzdłuż drugiej części składu. Oczekałem, kolejarzy na razie nie było, ale wskoczyłem do najbliższego wagonu pasażerskiego, wpadłem do WC, nie zamykając się. Słyszałem gwar szukających mnie, ale pociąg ruszył. Przed stacją Kenz pociąg zwalniał na rozjazdach, wyskoczyłem i ścieżkami wróciłem do domu, jakby nigdy nic. Mogłoby się zdarzyć, że powiadomiona miejscowa „Hilfspolizei” zatrzymałaby pociąg na stacji, nie wiem, dlaczego tego nie uczynili. Przygoda mogłaby się dla mnie skończyć „turnusem wychowawczym” na statku „Bremerhaven”, za nieuprawnione oddalenie się z miejsca osadzenia i jazdę koleją.

Wiosną 1941 roku jakby zapomniano o przepowiadanych opanowaniu Anglii, za to pełno było triumfów z powodu zwycięstw nad Jugosławią i Grecją, a sukcesy nad Brytyjczykami w Afryce chwilowo wypełniły ten temat. Nastąpiła cisza. Ludność niemiecka, jakby czuła, że dzieje się coś, o czym nie jest informowana. Dało się odczuć niepokój. Nagle, prawie tydzień po 20 czerwca, rozległy się triumfalne komunikaty o zwycięskiej ofensywie na Związek Radziecki, o masowo poddających się wojskach sowieckich branych do niewoli i podejściu wojsk niemieckich pod Moskwę i Leningrad. W przeciwieństwie do poprzedniej euforii teraz nie było widać wśród Niemców szczególnego entuzjazmu. W powietrzu jakby zawisło pytanie: czy to się aby dobrze skończy? Nawet Willy nie okazywał radości. Dom pewnie podzielał troskę o przyszłość, Urbański, a zwłaszcza Hahn, powtarzał w odpowiedzi na optymistyczne przechwałki na temat bliskiego pokonania Rosji, skoro Wehrmacht podchodzi do Moskwy, komentował po swojemu: „erst abwarten dann Tee trinken” (wpierw odczekać i dopiero pić herbatę). Wśród Polaków zapanował bezwzględny optymizm. Nie znaliśmy się na polityce, o kulisach Kremla i zbrodniach Stalina nikt nie miał pojęcia. Nas po prostu cieszyło, że Hitler wpakował się w pułapkę i że to jest początek jego końca. Rozsądni Niemcy zresztą też tak sądzili, ale ilu było w tym czasie rozsądnych Niemców?

Początek 1942 roku przyniósł niezwykle obfite opady śniegu. Ważna dla przemysłu zbrojeniowego linia kolejowa do Barth wymagała częstego odśnieżania. Niewystarczające pługi odśnieżne trzeba było zastępować siłą ludzką. Posłużono się w tym celu jeńcami rosyjskimi. Pewnego ranka zawiozłem jak zwykle konwie z mlekiem ustawione na włoce zaprzęzonej w konia. Gdy pociąg zatrzymał się, z dodatkowego wagonu towarowego zaczęli wyskakiwać jeńcy rosyjscy, straszliwie sponiewierani, lecz o bystrym spojrzeniu, brutalnie popędzani przez konwojentów. Widać było, że są wygłodzeni. W liczbie około 100 osób z przywiezionymi łopatami popędzano ich na zasypane odcinki szlaku kolejowego. Wróciłem poruszony do głębi ich stanem. Gerasim w mig zdecydował, że jeńcom trzeba pomóc. Podawany nam trzy razy dziennie chleb energicznie „zarekwirował”, pozostawiając nam część porcji. Oprócz chleba otrzymywaliśmy porcję smażonych ziemniaków. Niemcom oświadczył, że to na dobroczynny cel. Powstała z tego spora paczka chleba zawinięta celowo w gazetę. Gdy następnego ranka pociąg jeńców przywiózł ponownie, podjechałem pod formującą się kolumnę i strąciłem nogą leżącą na niskiej podłodze paczkę tak, aby konwojent nie zauważył. Jeńcy w pierwszej chwili oniemieli, nie wierząc, że ktoś w tej nie-nawistnej Germanii chce im pomóc. Następnie rzucili się na paczkę, wrywając sobie jej zawartość. Sądziłem, że paczkę podniosą dyskretnie, jak przewidywał Gerasim, sam do niedawna za drutami. Konwojent zauważył zamieszanie, ale ja

podciąłem konia i uciekłem. Kolejna moja akcja pomocy skończyła się tym, że jeńcy, rozpaczliwie głodni, rzucili się nie tylko na podrzuconą im paczkę chleba, ale i na otwarte w pobliżu kopce z burakami pastewnymi, wgrzając się w ich zmarznięty mięsz. Kolumna poszła w rozsypkę, rozległy się strzały. Konwojenci uderzeniami karabinów odpędzili jeńców i ustawiali w szeregu. Dowódca wachmanów w stopniu feldwebela obserwował mnie uciekającego i po chwili zjawił się w gospodarstwie Hagenowów, trzymając się za pistolet. Został tylko Urbańskiego; inni, w tym szef i ja, ukryliśmy się. Dowódca sądził zapewne, że to Urbański jest szefem i zażądał wydania mnie celem oddania w ręce policji. Groził mi co najmniej obóz koncentracyjny. Urbański argumentował, że... „ten chłopak bywa czasem wprawdzie niesubordynowany, ale jest zarazem dzielny i wzorowym pracownikiem, bez niego nie poradzę sobie na tym gospodarstwie, trudno dziś o siłę roboczą; jeśli pan feldwebel go zabierze, to ze szkodą dla gospodarki, nie poradzę sobie z dostawami mleka, w czym on doskonale pracuje, ...już ja go odpowiednio ukarzę, żeby nabrał rozumu i więcej takich wybryków nie robił”. Przeprosił dowódcę, ten, acz z ociąganiem, zaniechał zatrzymania mnie, pewnie sam miałby z tym kłopot.

Incydent zmienił wyraźnie nastawienie moich niemieckich kolegów do pogardzanych z reguły niewolników. Być może odezwała się w nich stłamszona przez nazizm nuta współczucia w imię miłości bliźniego? Tym bardziej raziło reagowanie Niemców obecnych na stacji, dojeżdżających rano do Barth. Na widok jeńców wojennych, wynędzniałych, osłabionych i głodnych reagowano wyśmiewaniem ich, obrzucano wyzwiskami. Górowali w tym zwłaszcza mundurowi niemieccy funkcjonariusze służb cywilnych. Celował w tym i prowokował zawiadowcę stacji Wulf. Wkrótce i on został powołany do Wehrmachtu, kto wie, czy nie znalazł się w sytuacji przez niego wyśmiewanych.

Z czasem dotkliwie dawały się odczuć niedostatki w zaopatrzeniu w artykuły przemysłowe do produkcji rolnej. Sznurek do snopowiązałek był wykonany z papieru, co psuło maszynę i przeszkadzało w zbiorach. Jakość wyrobów metalowych była zła. Lemiesze do pługów okazywały się za miękkie, gwoździe i widły gięły się. Wszystko to złościło Urbańskiego, odpowiedzialnego za sprawną robotę. Nie było przydziałowego obuwia ani rękawic roboczych. Trwały za to coraz cięższe zmagania armii niemieckich na niezmiernych polach Rosji. Miejsce radosnych fanfar zajęły żalobne tony po klęsce pod Stalingradem.

Z Kenz widać było nocą bombardowany przez Brytyjczyków Rostock. Płonęły fabryki samolotów Heinkla. Wśród zabudowań mieszkalnych ginęły rodziny w odwet za Londyn i inne miasta angielskie, których niszczenie tak niedawno obwieszczały triumfalne komunikaty. W Stralsund w wyniku nalotu 6 października

1944 roku zniszczona została stocznia, a w gruzach domów mieszkalnych zginęło 600 osób. Mieszkańcy Kenz stali się mniej butni, ale ich surowe odnoszenie się do Polaków stało się jakby bardziej harde. Myślę, że w dalszym ciągu byli przekonani, że w gruncie rzeczy winę za wszystko ponoszą Polacy. Z czasem w zupie podawanej na śniadanie było więcej wody niż mleka, zamiast dotychczasowej zacierki, luźna zasyпка jakby z otręb. Posiłki mimo samowystarczalności bauera stawały się coraz mizerniejsze. Zupelnie nie podawano warzyw. W tych stronach nie robiono kiszonych ogórków ani kapusty, tak u nas popularnych. Warzywa gotowane dodawano nieczęsto i w porcjach deserowych. Surówek nie znano. Regionalną potrawę stanowią tu do dziś smażone ziemniaki, do których przydzielano wędzony boczek. Friedrichowi dostawała się porcja wielkości dwóch pudełek zapalek, Willemu i Gerasimowi wielkości jednego pudełka, ja otrzymywałem połowę ich porcji. Uzupełniałem niedobór na swój sposób. Przed odstawieniem mleka na stację spijałem z konwi pokaźną ilość osadzonej na wierzchu śmietany. Dopiero po czasie nadsyłane z mleczarni raporty mogły zadziwić szefa obniżonymi wskaźnikami tłuszczu.

Wiosną 1942 roku z listu od mamy dowiedziałem się, że w Bydgoszczy ogłoszono wezwanie do wpisywania się na volkslistę (DVL) (Niemiecką Listę Narodową – NLN). Zwróciłem się do szefa o udzielenie mi urlopu. Szef zgodził się i dał mi napisane przez siebie poświadczenie. W Landratsamcie (starostwie) w Barth, gdzie zwróciłem się o dokument podróży, urzędnik wściekł się. Z wrzaskliwej jego wypowiedzi dowiedziałem się, że to bezczelność, urlopowanie „Pollacken” (świńskich Polaków), podczas gdy ich żołnierze walczący na Wschodzie o urlopach marzyć nie mogą! ... i wyrzucił mnie za drzwi; może dałby kopniaka, ale zażenowane panie obecne w pokoju robiły wrażenie zniesmaczonych.

My, polscy niewolnicy, z satysfakcją przypatrywaliśmy się miejscowym Niemcom, wyraźnie zakłopotanym. Z uchylonych okien ich mieszkań nie rozbrzmiewały już fanfary płynące z radiodbiorników. Popularne „England hed”, niepasujące już do strat na morzu, i „Lilli Marlen” o żalobnej treści zostały zakazane nakazem ministra Goebbelsa. Komunikaty Głównej Komendy Wehrmachtu nastrajały pesymistycznie. W takim klimacie upływały miesiące, gdy wezwany do gabinetu szefa zastałem tam przedstawiciela Urzędu Gminy, który po identyfikacji, wskazując na moje „P”, powiedział: „nie musisz już tego nosić, już nie jesteś Polakiem, twoje rodzice podpisali volkslistę, jesteś teraz Niemcem”. Wręczył mi zieloną legitymację z wymowną na niej pieczętką: „Właściciel posiada obywatelstwo niemieckie do odwołania”. Wobec zaprzyjaźnionych Polaków spod znaku „P” nie kwapiłem się z ujawnieniem mojego nowego, narzuconego statusu. Nie upłynęły wszakże dwa tygodnie, gdy listonosz wręczył mi osobiście

wezwanie do Wehrmeldeamt Stalsund. Po czterech latach znalazłem się z tym mieście ponownie, tym razem bez eskorty. Jako wyzwolieniec z przyjemnością przejechałem się tramwajem. W urzędzie meldunkowym Wehrmachtu podałem jako miejsce przysłego zamieszkania Bromberg. W Kenz wydana mi w Stalsundzie książeczka poborowego wywołała konsternację. Oni jednak nie myśleli jeszcze, że jest tak źle, że Polaków powołują do Wehrmachtu, kategorią przewidzianą ciągle było „Führer wie najlepiej, co się robi”, toteż moja porcja boczkuzostawała przy stole w niezmienionej najmniejszej postaci. Nie pytając o zgodę, oświadczyłem szefowi, że zmieniam miejsce pracy. Wyplacił mi ostatnie pobory w niewolniczej kwocie 20 marek, co ledwie wystarczyło na bilet kolejowy do „Brombergu”. Bez żalu opuściłem Kenz i gospodarstwo Hanenowów. W pozytywnej pamięci pozostał jedynie Białorusin Gerasim – żołnierz polski. Wkrótce mój los rekruta miał ulec złagodzeniu dzięki jego radom i pouczeniom.

Zaledwie kilkanaście dni trwał mój pobyt w rodzinnej Bydgoszczy. Zdążyłem poznać wisielczy humor nowo kreowanych obywateli Niemiec, nazywających siebie „byrgrowanymi” od niemieckiego „Eingebürgert”. Parafrazując patriotyczny wierszyk Władysława Bełzy, mówiono:

„Kto ty jesteś? Byrgrowany!

Jaki znak twój? Krzyż złamany.

Kto cię stworzył? Zawierucha.

Co cię czeka? Gałąź sucha”.

Pocieszano się uzasadnioną nadzieją, że nieuniknione wcielenie do Wehrmachtu będzie szansą na znalezienie się po tamtej stronie w „Legionach Sikorskiego!”. Przyjaciółka mojej mamy, pani Weronika Kaczmarkowa z ulicy Racławickiej, przyniosła list od brata, żołnierza Wehrmachtu, nadany we Francji, a w nim załączone zdjęcie w gronie dziewcząt ze środowiska polonijnego. Aluzja była wyraźna. Zapamiętałem przekaz bez słów. Sam posłużyłem się wskazówką pani Weroniki z dobrym skutkiem.

W drogę ku spełnieniu

Nie miałem 18 lat, gdy nadeszło wezwanie do stawienia się dnia 22 sierpnia 1943 roku w „22. Schiffstammabteilung” w Beverloo – w Belgii (czyli w Macierzystym Oddziale Załóg Okrętowych). W tym celu należało stawić się 20 sierpnia 1943 w „Schwerinkaserne” z prowiantem na drogę. Na dziedzińcu przy ulicy Warszawskiej (wówczas Karlstrasee) zastałem moich rówieśników, kolegów szkolnych i znanych z widzenia Polaków. Ustawiający nas w kolumny po 40 osób byli podoficerami Kriegsmarine. Pytani, na co czekamy, odpowiedzieli, że pociąg, do którego dołączymy, jest w drodze. Wczesnym wieczorem na peron bydgoskiego dworca wjechał długi skład wagonów towarowych z ławkami

skleconymi z surowych desek. Większą część wagonów wypełniali, podobnie jak my, polscy rekruci zebrani z Pomorza na różnych stacjach węzłowych: Chojnice, Tczew, Grudziądz, Toruń... Niektórzy tłukli się tym pociągiem od rana. W sumie gotowych do odjazdu było nas co najmniej 600 osób. Gdy pociąg ruszył, na bydgoskim dworcu rozległy się – mimo zakazu – pieśni śpiewane z pełnych młodzieńczych piersi: „Kto się w opiekę...”, „Pod Twoją obronę...”, podobnie jak trzy lata wcześniej, gdy wywożono mnie do pracy niewolniczej. Konwojenci z Kriegsmarine wydawali się nic nie rozumieć, zresztą mieli nas dowieźć do Belgii, reszta po żołniersku ich nie obchodziła. Zapewne o bydgoskich represjach nie mieli pojęcia. Podróż przez środkowe i zachodnie Niemcy uzmysłowiła nam skutki alianckich nalotów bombowych. Im dalej na zachód, tym więcej ruin, wypalonych domów. Bez opóźnienia w wyznaczonym dniu pociąg wtoczył się na stację Leopoldsburg, właściwą dla ogromnego ośrodka i poligonu Baverloo, urządzonych przed pierwszą wojną światową na rozkaz króla Belgii.

Tydzień trwały badania lekarskie, ewidencjonowanie i umundurowanie naszej pokażnej grupy Polaków. Wyplacono nawet pierwszy żołd we frankach belgijskich, wydanych za chwilę na pierwszy w życiu szampan kupiony od ulicznych sprzedawców. Na wydanie franków na inny cel nie było szans. Odzianych w szare mundury polowe załadowano nas do takiego samego pociągu jak ten z Bydgoszczy. Ostatniego dnia sierpnia przez holenderski Roermond, obok dymiących zgłiszczy Hamburga, dotarliśmy o północy do stacji Westerland na wyspie Sylt. Od rana 1 września oczekujący nas instruktorzy podjęli wysiłki nad ukształtowaniem nas Polaków do potrzeb Wehrmachtu. Wokół rozbrzmiewał język polski, większość nie władała niemieckim. Instruktorzy reagowali różnie, jedni obojętnie, inni krzykiem: „hört auf!” (przestańcie), nie odnoszono się nigdy do nas brutalnie z powodu języka polskiego, tak jak to miało miejsce na ulicach Bydgoszczy. Przewidywane kłopoty z wygłoszeniem hitlerowskiej przysięgi rozwiano zawczasu. Z rasowych niemieckich podoficerów utworzono kampanię reprezentacyjną w sile sporego plutonu, który skandując, powtarzał słowa prowadzącego ceremonię wehrmachtowca – kapelana, nigdy wcześniej tutaj niewidzianego. Cała gromada 400 rekrutów z Polski została zaprzysiężona, co odnotowano w aktach każdego z nas. Wymogom biurokracji stało się zadość.

Jesień na wyspie Sylt upływała wśród piaszczystych wydm przemierzanych do niedawna w tempie „biegiem marsz” z pełnym obciążeniem. Zaprzestano notorycznych ćwiczeń musztry. Z kolei uczono nas posługiwania się bronią. Służyły do tego zdobyczne holenderskie karabiny i bagnety w skórzanych pochwach. Urozmaicenie stanowiły przeloty setek zgrupowanych amerykańskich fortec latających nad wyspą w kierunku Bałtyku na Berlin, Szczecin, Gdańsk i Królewiec.

Niemcy nie uruchomili nawet alarmu. Wiedzieli, że lecą one powyżej zasięgu obrony przeciwlotniczej. Niewidziane przez nas wcześniej wzbudzały podziw i umacniały w świadomości, że słuszność w tej walce leży po tamtej stronie.

Z nadejściem grudnia wymieniono nam sorty mundurów. Bez żalu pozbyliśmy się szaro-zielonych mundurów, typowo wehrmachtowskich. Granatowy marynarski ubiór nie budził zbyt negatywnych skojarzeń. Przystąpiono do selekcji Ersatzkompanie Sylt (kompanii zapasowej), tak nazywano całą jednostkę. Z łatwością dało się zauważyć kryteria decydujące o przeznaczeniu przeszkolonego rekruta. Najliczniejszą grupę, nieznających języka niemieckiego, czyli niemal połowę, przewieziono szalupami z pobliskiego portu na duńską wyspę Romø dla dalszego szkolenia. Dużą grupę posługujących się jako tako niemieckim skierowano do baz w Norwegii. Tam zasilili obsługę dział przeciwlotniczych na transporterach szwedzkiej rudy żelaza lub eskortujących je poławiaczach min. Kolezdy ci nie mieli szans na przedostanie się na tamtą stronę. Znałem bydgoszczan, którzy do końca wojny byli uwięzieni nakaznym stanowiskiem, także przy obsłudze maszyn, jak mój kolega szkolny i sąsiad Henryk Czarnecki. Wielu innych poszło z okrętem na dno. Grupę ostatnią, kilkunastu biegle władających niemieckim, zatrzymano. Tymczasem do opróżnionych koszar przywieziono dużą grupę kandydatów na rekrutów podobnych do nas sprzed miesiący. Większość nie znała niemieckiego. Uradowani, gdy dowiedzieli się, że jesteśmy Polakami, ostentacyjnie okazywali niechęć, a nawet wrogość do Niemców, profanując portret Hitlera. Byli Słowęciami. Podobnie jak my, z narzuconej volkslisty zostali wcieleni do Kriegsmarine. Wiedzieli, że podstęp ten Niemcy stosowali na terenach okupowanych ich macierzystej Jugosławii, Czech, Belgii i Luksemburga. Po wojnie władze Wielkiego Księstwa wystawiły swoim młodym obywatelom przymusowo wcielonym do Wehrmachtu pomnik ofiar hitleryzmu.

Okazało się, że ostatnią grupę, do której należałem, oceniono najwyżej i przeznaczono do szkół specjalistów artylerii przeciwlotniczej. Kilku do Francji w okolicy Biarritz nad Atlantykiem, w tym Zbyszka K. z Bydgoszczy oraz Janowskiego i Jaworskiego z Torunia, do niedawna podoficerów Wojska Polskiego. Reszta, w liczbie sześciu, wraz ze mną znalazła się w Świnoujściu na pokładzie artyleryjskiego okrętu szkolnego „Mars”. Wcześniej jako szybki frachtowiec pn. „Equator” służył do przewozu bananów z Ameryki Środkowej. Obszerne ładownie wykorzystano do ćwiczeń działocznów. Ostre strzelanie ćwiczebne prowadzono z działek kalibru 37 i 20 mm, ustawionych na pokładzie i nadbudówkach. Jedyne podwójnie sprzężone działo automatyczne 40 mm Bofors na pokładzie wzbudziło we mnie szczególny sentyment; na jego zamku wybity był symbol naszego orła w koronie z zapisem Radom. Z działa tego strzelano tylko

podczas nocnych nalotów brytyjskich RAF, zresztą bez skutku. Natomiast zrzucone z samolotów miny magnetyczne i akustyczne, zalegające dno Zatoki Pomorskiej, okazały się zadziwiająco skuteczne. Czwartego lutego nad spienionymi wodami zatoki zaczął wiać ze śniegiem. W przerwie obiadowej wyszedłem na opustoszały pokład. Ujrzałem sunący na powierzchni okręt podwodny, nad nim chmurę błękitnego dymu i wyrzucony w powietrze złamany jego kadłub, po chwili dobiegł głuchy odgłos eksplozji. Na moich oczach tonął U-854. Przeżyło dwóch ludzi wyrzuconych z impetem wybuchu z kiosku. Do końca wojny taki sam los pod Świnoujściem spotkał jeszcze 8 innych u-bootów wraz ze szkolonymi na nich załogami, nie licząc wielu innych znaczniejszych okrętów i statków. „Mars” przetrwał wojnę. Przycumowany w Kaliningradzie, jako hotel i muzeum pod pierwszą nazwą „Equator”, dotrwał jako statek badawczy „Witez”.

Przypatrując się tonącemu u-bootowi, nie wiedziałem, że niedługo znajdę się w sytuacji podobnej do jego załogi, podczas unieszkodliwiania min zrzucanych przez RAF na szlakach wodnych w innym akwenie, na szczęście bez szkody dla mnie. Na odwrót, szkoda, jaką poniósł okręt, znakomicie zbliżyła mnie do założonego, osobistego celu, czyli przejścia na tamtą stronę. Staralem się utrzymywać stały kontakt listowny z rodziną w Bydgoszczy. Pod koniec pobytu na „Marsie”, wezwano mnie do kajuty, którą zajmował oficer kontrwywiadu. W rękę trzymał napisany przeze mnie list i zapytał: „do kogo wysłaliście ten list?”. „Do matki” – odpowiedziałem. On: „tak nie wolno, piszcie po niemiecku!”. Ja: „ona nie zna niemieckiego (co było nieprawdą). On: „to niech znajdzie kogoś, kto jej przetłumaczy!”. Poczulem się potwornie dotknięty. Już z Kenz pisałem po polsku, także na widokówkach, bo to zawsze był nasz język. Zainteresowanie kontrwywiadu (jednocześnie komórki Gestapo w mundurze Kriegsmarine), pobudziło we mnie czujność. Cechy zewnętrzne i biegła znajomość języka niemieckiego sprawiła, że obserwowano mnie uważniej niż innych Polaków. Wiele lat później zauważyłem to samo w strefie Stasi.

W połowie lutego „Marsa” skierowano do stoczni w Szczecinie, wymagał remontu i wymiany dział. Wagonami towarowymi zawieziono do Bremerhaven oczekujących w koszarach na przydział do jednostki frontowej, zatrudniano ich a to przy usuwaniu śniegu z ulic miasta, a to na bocznicach kolejowych do robót przeładunkowych. Nierzucający się w oczy, na końcu „robotników”, trafiłem do wędzarni ryb, przywożonych do portu w dużych ilościach z Norwegii. Pomagałem przy pakowaniu piklingów. W mojej rodzinie uchodziły za najwyższy przysmak. Teraz w Brombergu nieosiągalny. Potajemnie wyniosłem ich skrzynkę i wysłałem do Bydgoszczy. Otrzymali! Właściciel wędzarni, częściowo zniszczonej na skutek bombardowań, polubił mnie, chętnie wdawał się w pogawędki.

Stracił dwóch synów w Wehrmachcie. Nie widział sensu w hitlerowskich Niemczech. Dał mi dwa piklingi na kolację. Następnego dnia nie zastałem go. Aresztowany za szkodnictwo gospodarcze (2 piklingi) i defetyzm, choć ja z nikim o nim nie rozmawiałem, wydali go inni rozmówcy. Myślę, że przypatrywano się także skrzynce piklingów na odnośnym posterunku w Brombergu.

Garnizonowa „laba” w Bremerhaven skończyła się po 14 dniach. Niemieckiej grupce wręczono karty obiegowe między innymi do zbrojowni. Oberbootsmann zauważył moje nazwisko – dla niego zbyt trudne – toteż odpowiednio mnie potraktował. Wydał mi archaiczny długi karabin francuski „Sabell” i 10 naboń. Archaiczny egzemplarz okazał się niesprawnym buble. Mechanizm spustowy zaczął się, z trudem wprowadzał nabój. Na moją uwagę wszechwładny zbrojmistrz warknął coś w rodzaju „nie ma innego, zjeżdżajcie stąd!”. Udając pokornego rekruta, pomyślałem, że i tak nie mam zamiaru do nikogo strzelać. Rozkaz wyjazdu kierował mnie do 2. Flotylli Sperrbrecher, czyli łamaczy zapór minowych. Nie bardzo wiedzieliśmy, co to oznacza. Podoficer wyjaśnił krótko: „Himmelfahrt kommando, czyli komando wniebowstąpienia – najkrótsza droga do nieba”; tak wypowiadał się znający plotkarskie tajniki Kriegsmarine bosmann – nasz dowódca na czas podróży. Wiedzieliśmy, że Polaków z III grupy volkslisty nie kieruje się do lotnictwa, służb łączności ani na u-booty, pancerniki, krążowniki i inne prestiżowe okręty.

Była noc z 11 na 12 marca 1944 roku. Pociąg zatrzymał się na stacji granicznej Metz. Przed dalszą podróżą do Francji niemiecka żandarmeria przeprowadziła kontrolę dokumentów. Była też możliwość wymiany marek na niewielką ilość kolorowych franków. W tym samym czasie trwało bombardowanie przez RAF ośrodka kierowania wyrzutniami rakiet w Saint Omer. Zginął wtedy mój wujek Marian Mlicki, bydgoszczanin wcielony do Wehrmachtu.



Fot. 1. Sperrbrecher 3, łamacz zapór minowych uszkodzony przez wybuchminy na wodach Zatoki Biskajskiej (repr. P. Arndt, Deutsche Sperrbrecher 1914-1945, Bonn 2005)

Do Royan dotarliśmy przed południem. Z dowództwa od razu skierowano nas do La Pollice z przeznaczeniem na uzupełnienie załogi Sperrbrecher 3. Rano ujrzeliśmy go na redzie portu. Przybyła po nas barkasa. Gdy dobijała do burty okrętu, rzucił się w oczy namalowany na mostku kapitańskim symbol

„trzynastka pośrodku czterolistnej koniczyny”. Był 13 marca 1944 roku. Liczby niepokojące, ale wrodzony optymizm podpowiadał: „nic nie zmienisz, więc staraj się polubić”. Witający nas na pokładzie dowódca Kapitänleutnant Zantz zbył mój regulaminowy meldunek przybycia. Doniesiono mu już drogą radiową, że uzupełnienie to Polacy. Odnosił się zarówno do nas, jak i całej załogi, z pobłażliwością. Nie miał żadnych z zaobserwowanych u niemieckich oficerów cech rygorystycznego czy okrutnego człowieka. Zantz był światowcem.

Wyznaczono mi stanowisko amunicyjnego czterolufowego działka 20 mm pilot. Podczas monotonnego przemierzania Zatoki Biskajskiej z pogaduszek członków obsługi dowiedziałem się, że pan Zantz jest kapitanem żeglugi handlowej. Dowodzi tą jednostką od jej zbudowania w 1937 roku, kiedy jako MS Belgrad kursowała na linii Hamburg – porty Lewantu. Jako kapitan rezerwy mianowany dowódca okrętu nie posiadał brutalnych cech większości oficerów niemieckich. Nie spoufalął się. Był lubiany przez załogę, ale nie przez zwierzchników w Royan. Został przeniesiony na jednostkę operującą na Morzu Śródziemnym, tam zginął, co ogłoszono na apelu. Następni dowódcy Speerbrecher 3 budzili niechęć.

Jednostajność obserwacji morza i nieba przerywały wzniecane wybuchy min, podnoszące gejzery wody czasem tuż przy burcie okrętu. W pogodny ranek 27 marca 1944 roku, po 13 dniach od mojego zaokrętowania, Speerbrecher 3 eskortował dwa u-booty wracające z Atlantyku, gdy znad wody wyskoczyło sześć samolotów Mosquito zionących ogniem swoich działek i zrzucających bomby. U-booty zanurzyły się. Osłona ogniowa z 14 dział Speerbrecher 3 sprawiła, że samoloty zawróciły. Jeden, prawdopodobnie trafiony, wodował na północ od wyspy Ile De Ré. Podczas gdy pokład drżał od wystrzałów artylerii, ogluszający huk wstrząsnął okrętem. Pod kadłubem eksplodowała mina. Speerbrecher 3 sam stał się jego ofiarą. Przez rozszczelnione blachy poszycia wdzierала się woda. Przechył o 30 stopni unieruchomił okręt. W cieniu Wyspy d'Oléron dokonano prowizorycznych napraw. Nad ranem kulejący okręt dotarł do Bordeaux.

Po naprawie Speerbrecher 3 wyprowadzony z suchego doku zacumował w samym centrum miasta przy Esplanade des Quinconces. Okręt sprawny do działań bojowych nie był w stanie podjąć zadań operacyjnych, uwięziony na rzece Garonna w głębi łądu. Ujście rzeki patrolowały ORP Błyskawica i ORP Piorun na zmianę z innymi okrętami alianckimi. Zazwyczaj atrakcyjne dla załogi Speerbrecher 3 miasto stało się niedostępne. Lądowanie sprzymierzonych, wzmożona aktywność partyzantów, zamach na Hitlera sprawiły, że dowództwo wstrzymało przepustki na ład. W sukurs przyszli sprzedawcy owoców. Stragany przeważnie na kołach, pełne pachnących brzoskwiń i winogron wtaczali na nabrzeże. Marynarzom, karmionym konserwami należały się owoce, kupowane zresztą za własne pieniądze.

Mimo ostrego pogotowia zezwolono na zejście z okrętu tylko dla zakupu owoców co drugiemu członkowi załogi co drugi dzień.

Droga na tamtą stronę otwarta

Pogodnego sierpniowego dnia przypadła moja kolejka na pójście po owoce. Od miesięcy stanąłem pośród traw i krzewów. Zauważyłem ławeczkę parkową. Nie pamiętam, czy to ja pierwszy na niej usiadłem, czy one już tam były, dwie dziewczyny, wyglądały na ciekawskie. Po chwili młodsza zapytała mnie po niemiecku: „czy pan jest z tego okrętu?”. Potwierdziłem. Na to druga po polsku: „czego ty chcesz od tego Niemca?”. (miałem ponoć taką aparycję). Niemal zachłysnąłem się: „to panie jesteście Polkami?”. Mój czas upływał, służbowy przy trapie już wołał: „Die Zeit ist um!” (czas minął). Umówiliśmy się na spotkanie następnego dnia. Młodsza przyszła dowiedzieć się o losy swego chłopca Henryka D. z Bydgoszczy, członka załogi okrętu, który tu niedawno stał. Chodziło o ten sam okręt, który na moich oczach płonął na redzie La Pollice. Zbyszek wiedział, o kogo chodzi. Henryka D. znał z harcerstwa. Według kolejności zejście na ląd przysługiwało Zbyszkowi, a nie mnie. Poznał obie dziewczyny od razu. Wzbudził w nich zaufanie. Poszli razem na ulicę Thiac, aby poznać drogę i dom, w którym my dwaj i inni chętni Polacy spośród załogi mogliśmy odczekać na przerzut na tamtą stronę. Zbyszek wrócił w nastroju euforii. Dom prowadziła Maria Guibert z domu Kwaśniewska, rodowita warszawianka, jej brat pułkownik przebywał w Londynie przy sztabie Wojska Polskiego, sama od lat pragnęła przysłużyć się walczącej Polsce. Nam pozostawało przygotować się na odpowiedni moment do

odskoku, one miały czekać dzień i noc.

Tymczasem zaszły wydarzenia wskazujące na koniec okupacji niemieckiej. Z okrętowych komór zabrano zapasy amunicji i ciężarówkami wywieziono do jaskiń w okolicy Langon. Zostałem wyznaczony do eskorty drugiego transportu. Podobała mi się przejażdżka doliną Girondy. Zgłosiłem się do



Fot. 2. Bordeaux. Port na rzece Garonna, gdzie cumował uszkodzony Sperrbrecher 3. W głębi Pont de Pierre (fot. ze zbiorów prywatnych autora)

trzeciej, ale zostałem odrzucony. Mówiono, że w tamtej okolicy pokazali się „die Terroristen”, jak nazywano francuskich partyzantów. Nie ufali mi, myśląc, że się do partyzantów przyłączę, w czym zresztą nie mylili się. Eskortę trzeciego transportu stanowili wybrani zabijacy „bewährte”, uzbrojeni w broń maszynową i granaty. Żaden z nich nie wrócił.

Był poniedziałek 22 sierpnia 1944 roku. Rzeka Garonna niosła z górnego biegu grubą warstwę benzyny spuszczonej z ogromnych zbiorników w wyniku sabotażu. Na wysokości mostu Pont de Pierre, łączącego dzielnicę La Bastide z centrum miasta, buchnęła ściana ognia i zagroziła pożarem stojącym poniżej przy brzegu okrętom. Zadziałał widocznie zapłon zrzucony z mostu. Prąd rzeki zepchnął ścianę ognia na środek nurtu rzeki i oddalił niebezpieczeństwo. Po chwili z drugiej strony padły pociski z moździerzy nieopodal Speerbrecher 3. Wówczas kucharz okrętowy nazwiskiem Kuhweide samowolnie doskoczył do działka i bez niczyjego rozkazu wystrzelił cztery pełne ładunki w stronę ruchliwych ulic La Bastide.

Napięcia wśród załogi wzmagały bezsilność i wieści od rodzin – mieszkańców miast niemieckich ustawicznie bombardowanych przez aliantów. Oni tutaj pragnęli zemsty, także za czołowych kamratów, którzy zginęli niedawno pod Langon. Szukali wrogów i dostrzegli ich w Polakach, bo przecież wszystkiemu winna jest Polska. Pewnej nocy, gdy stałem przy trapie, od placu Quinconces padły w moim kierunku strzały. Ukryłem się za pobliskim żurawiem portowym. Zaalarmowany inny wartownik na pokładzie strzelał do mnie z pistoletu maszynowego, na szczęście nie trafił, było ciemno. Wśród ogólnej psychozy Niemcy stracili głowę. O zajściu zameldowałem matowi. Przechodzący obok st. mar. Schlegel z Królewca rodem, wymamrotał w moją stronę: „schade du Schweinhund, dass sie dich nicht erschossen haben” (szkoda, ty świniopasie, że cię nie zastrzelili). Ze Zbyszkiem unikaliśmy zbędnych kontaktów. Rozmowy z innymi Polakami – kilku Ślązaków było w maszynowni – podsłuchujący Niemiec skomentował: „co, knujecie rebelię?”. Widać mieli nas na celowniku, i był czas, aby się od tej bandy oderwać.

Załogę przygotowywano do marszu pieszego w stronę Angoulême w kierunku Niemiec. Próby rekwizycji samochodów i rowerów pozostały bez efektu. Sam przegoniłem młodą naiwną rowerzystkę, aby nie zabrać jej roweru. Mundury wymieniono na szaro-zielone „Feldgrau”, resztę spalono na nabrzeżu. Można było pobrać dowolną ilość amunicji, granaty, sporą porcję tytoniu i żelazne racje. Port otaczały posterunki Waffen-SS. Po mieście krążyły patrole żandarmerii niemieckiej i francuskiej w ich służbie.

Postanowiliśmy wykorzystać bałagan. Koledzy wcześniej wtajemniczeni, dwaj starsi torunianie, zrezygnowali w obawie o los rodzin. Zbyszek i ja w pełnym

ekwipunku, udając zdyscyplinowanych, gorliwych, gotowych do wymarszu, zeszliśmy z pokładu przed innymi. Nabrzeże było puste, nikt już nie dbał o postęrniki wartownicze. Sprzed bramy zniknął SS-man. Droga do rue Thiac wymagała przejścia przez rozległy plac Quinconces. Ważne, aby nas na tej otwartej przestrzeni nie zauważono. Ruch na ulicach wokół był normalny, co nam sprzyjało. Zbyszek poznał wcześniej trasę, po której patrole nie chodziły. Tym razem zaskoczenie; w rozwidleniu ulicy, którą zmierzamy, stoją dwaj francuscy policjanci w charakterystycznych pelerynach. Nie widać, aby byli nami zainteresowani, ale stoją nam na drodze. Od rozwidlenia w lewo jest rue Thiac numer 5, to bardzo blisko, nie mogą nas zobaczyć wchodzących do domu. Stajemy przed rozwidleniem w postawie „gotuj broń”. Pojęli aluzję i spokojnie odeszli z rozwidlenia ulicą w prawo! Odczekaliśmy, aż znikną. Pani Maria i obie dziewczyny, zaniepokojone, wskazały nam pokój na piętrze. Nasze mundury feldgrau i inne elementy rozpoznawcze zniknęły w rozpalonym piecu. Otrzymaliśmy niezbyt eleganckie ubiory cywilne, co natychmiast wzmogło pożądanie battledressu.

Przyniesione przez nas 2 karabiny, 50 sztuk naboju z ładownicami, 8 granatów ręcznych i ½ kg tytoniu miały stanowić wiano od nas przystępujących do grupy partyzanckiej. Dobra te obie odważne dziewczyny dostarczyły tramwajem do tyłko im znanego punktu na przedmieściu. Karabiny po babsku owinęły w koronkową narzutę, a resztę do walizki. Gdy szczęśliwie wróciły, zjawił się przedstawiciel zgrupowania „Roger” i wylewnie nam dziękował. Zapewnił, że po sprawdzeniu naszej tożsamości przyjdzie ponownie i wprowadzi do ugrupowania. Prosił o jakiegokolwiek nasze dowody. Zbyszek dał mu harcerską książeczkę służbową, ja legitymację PKP z pieczęciami, uprawniającą członka rodziny kolejarza do zniżek w przejazdach. Żadnej z tych legitymacji ani „Rogera” już nigdy nie zobaczyliśmy, bez śladu zniknęła placówka ugrupowania. Pod wieczór od strony portu rozległy się silne detonacje. Irka pobiegła na Pont de Pierre, skąd był widok na port. Wróciła z wieścią, że nasz okręt Speerbrecher 3 leży zatopiony w poprzek rzeki, a dźwigi na nabrzeżu wysadzone. Nazajutrz gazety publikowały zdjęcie tej sytuacji.

Roztropnej pani Marii obrót sprawy z „Rogerem” specjalnie nie zdziwił. Po latach przeżytych we Francji, jako cudzoziemka, choć obywatelka tego kraju, zebrala sporo negatywnych doświadczeń. Relacje żołnierzy gen. Sikorskiego walczących w 1940 roku w obronie upadającej Francji są rażącym potwierdzeniem zachowania Francuzów. Pani Maria chłodziła nasze (18-latków) zapaly, aby ruszyć do walczących szeregów, choćby partyzanckich, zanim otworzy się przed nami droga do regularnych sił zbrojnych. Poza tym nie mogliśmy znieść nadużywania gościnności. Widzieliśmy, jak pożywiają się skromnym kartkowym

przydziałem dzielonego z nami suchego chleba, zagryzanego owocami. Chętnie korzystaliśmy z zachowanego radioodbiornika. Przerazały komunikaty o powstaniu warszawskim, radowały sukcesy wojsk gen. Maczka i gen. Andersa. Ucieszył i wzmocnił komunikat Rządu Polskiego w Londynie „o zaciągu ochotniczym na terenie Francji, Belgii i Wielkiego Księstwa Luksemburskiego”.



Fot. 3. Poświadczenie obywatelstwa polskiego, jedynego dowodu tożsamości wydane autorowi w związku z przyjęciem do zgrupowania partyzanckiego „Roger” francuskiego ruchu oporu – Resistance (fot. ze zbiorów prywatnych autora)

Dotychczas ujawnienie się na ulicy groziło aresztowaniem. W ślad za komunikatem rządowym na ścianie domu przy 5, rue Triac ukazała się tablica z orłem białym w koronie na czerwonym tle z dwujęzycznym napisem: „Agencja Konsularna Rzeczypospolitej Polskiej w Bordeaux”. Niezwłocznie zadbałem, prosząc konsula, o wydanie poświadczenia tożsamości, które po francusku wy-

stawiła Irka. Dokument nosi numer 1/44. Pani Maria miała rację. Dla ochotników utworzono Obóz Zborny Wojska Polskiego w miejscowości Lanton-Cassy koło Facture niedaleko Bordeaux. Wykorzystano dobrze zachowane baraki mieszkalne po pracownikach zatrudnionych przez Niemców przy budowie umocnień nad Atlantykiem. Odnalazła się tutaj ponad setka rozbitków z Wehrmachtu, bojowników z Hiszpanii ukrytych w Bordeaux, doświadczonych żołnierzy polskich gen. Sikorskiego czekających wśród Polonii od klęski Francji w 1940 r. Oni od razu objęli komendę nad ochotnikami. Umundurowani, z orzelkiem na beretach budzili respekt. Cennym partnerem naszej dwójki bydgoszczan stał się ochotnik Andrzej Osten z Kłonówka na Kujawach. Władający biegle francuskim na długo przed naszą nieudaną próbą stał się żołnierzem Resistance. Zaimponował serdecznością i kompletnym umundurowaniem francuskim. Traktowany przez nich w sposób uprzywilejowany nie miał zamiaru awansować, czuł się Polakiem, ciągnęło go do nas. Trzymaliśmy się razem. Po wojnie spotkaliśmy się w domu jego rodziców w Toruniu. Andrzej cenił wolność i szeroki świat. Wydostał się z wczesnego PRL-u jako marynarz PŻM.

Gdy przypadło święto 11 Listopada, ochotnicy, na czele z umundurowanymi, ruszyli z polską żołnierską pieśnią na ustach do pobliskiego kościoła. Dzień ten jest również we Francji uroczyście obchodzony. Ksiądz, Francuz, objaśniał parafianom z ambony, kim jesteście. Pieśń „My chcemy Boga” jest równie popularna we Francji jak u nas. Zaskakująco radośnie zabrzmiała przy wtórze organów jednocześnie po francusku i po polsku. Postarano się uczcić świąteczny dzień. Było przemówienie i śpiewy patriotyczne. Wygłosiłem wiersz Adama Asnyka „Jeniec”, zapamiętany z bydgoskiej szkoły. Wyplacono nam pierwszy żółd. Z okazji przypadających przed tygodniem moich 19. urodzin zafundowałem lampkę prawdziwego Bordeaux. Wino fasowane obowiązkowo według francuskich norm wojskowych wydawało się pochodzić z innych stron. Akceptując panujący w obozie porządek, czekaliśmy cierpliwie na wyjazd do prawdziwego wojska.

W obozie podjęła urzędowanie komisja poborowa. Z dumą przypatrywałem się naszym POLAND na ramionach ich battledressów i orzelkom na tarczach amazońskich. Wcześniej zatrzymali się przy 5, rue Thiac w Konsulacie RP. Od pani Marii Guiebert usłyszeli o nas. Liczyliśmy na rekomendację. Oficer – członek Komisji – rzekł: „Jesteście ochotnikami, przysługuje wam wybór rodzaju broni, w której chcielibyście służyć”. Nabyte wykształcenie i roczne doświadczenie chcieliśmy wykorzystać w Marynarce Wojennej. Przemawiały do nas skrycie zalety bytowania na okręcie: pływającym i ciepłym zasobnym domu. Oficer wysłuchał nas, po czym życzliwym ojcowskim tonem powiedział: „aby służyć w marynarce, musiałbym posłać was do Anglii, ale teraz nie jest tam bezpiecznie, spadają niemieckie rakiety, jest zimno i chłodno, i głodno. O ile wiem, etaty załóg są obsadzone (dziś wiem, że tak nie było, szukano rezerw). Nie mam zresztą takich możliwości – mówił – potrzeby są inne”. Tak uwiarygodnił siebie pan major. „W zamian – powiedział – pojedziecie do Włoch, tam potrzebni są artylerzyści, a to przecież wasza specjalność”. Wspominał, że jest tam lepszy klimat, słonecznie, wino, raczej beztrudno.

Nocnym pociągiem z Bordeaux przez Tuluzę – tym razem w wagonach z wyszczelnionymi fotelami – dotarliśmy rankiem do Awinionu na brzegu Rodanu. Zniszczony przez uchodzących Niemców most kolejowy jeszcze nie był odbudowany. Zastępczy prom przeprowił pasażerów tuż obok historycznego zerwanego mostu drogowego i potężnego zamku, niegdyś w XIV wieku miejsce odosobnienia papieża. Niestety, nie było czasu na zwiedzanie słynnego zabytku. Koleją dojechaliśmy do pobliskiego miasteczka Sorgue. W tutejszym obozie, odstąpionym przez armię francuską, czas upływał w monotonnym oczekiwaniu na regularne zajęcia. W deszczowe jesienne dni nawet przydzielone cienkie wino (według norm francuskich) nie wprowadzało ożywienia. Tu zdobyłem łyżkę, prozaiczny przedmiot pożądania (poczułem się jak bohater „Wiernej rzeki” Żeromskiego).

W pierwszym pogodnym dniu 13 grudnia 1944 r. po wczesnym śniadaniu przewieziono nas koleją do Marsylii. Po drodze od dworca do portu nie budziliśmy, o dziwo, szczególnego zainteresowania przechodniów. Okazało się, że przed nami było już wielu innych polskich poborowych w drodze do Włoch. W porcie marsylskim zdumiewała mnogość statków typu Liberty dowożących z Ameryki zaopatrzenie dla walczących armii. Olbrzymie jak domy stopy skrzyń z żywnością i sprzętu wojennego nie budziły wątpliwości, kto zwycięży w tej wojnie. Na tle błękitnego nieba urzekala piękna katedra de la Major. Dziwił i cieszył latający nad portem zwinnie sterowiec. US Air Force z armatką na podwieszanej kabynie; czyżby liczone się jeszcze z u-bootami?

Doprowadzono nas pod olbrzymi brytyjski transportowiec wojenny HMTS Eastern Prince. Stałem przy jego burcie i pomyślałem, oby dzisiejszy trzynasty grudnia zapowiadał rejs podobnie fortunny jak ten sprzed 9 miesięcy. Po południu okręt odbił w kierunku Cieśniny Świętego Bonifacego i Neapolu. Na pokładzie wśród wielojęzycznego tłumu żołnierzy wyróżniali się oficerowie we francuskich mundurach z polskimi orzełkami na beretach z napisem „2DSP”. Uprzejmie wyjaśnili, że są ze Szwajcarii, a skrót oznacza „2. Dywizję Strzelców Pieszych”. Po klęsce Francji internowani, teraz podążali jak my, uzupełnić Korpus gen. Andersa. Liczna kompania nastolatków we francuskich beretach z polskim orzełkiem z literami POWN, czyli Polska Organizacja Walki o Niepodległość, pochodzących ze środowisk polonijnych w północnej Francji, którzy na apel swoich proboszczów, mimo że woleli rozmawiać po francusku, garnęli się do Wojska Polskiego. Zainteresowanie budzili Japończycy, obywatele Stanów Zjednoczonych, którym pozwolono zostać żołnierzami. Zmierzali do 5. Armii USA walczącej w Italii.

Penetrując życie na pokładzie, natknąłem się na grupę angielskich marynarzy, w tym licznych Hindusów. Mimo woli stałem się uczestnikiem ceremonii pogrzebu morskiego. Chowano starszego wiekiem maszynistę, Hindusa zmarłego na serce. Kapitan w roli duchownego anglikańskiego odmówił z modlitewnika stosowny tekst, po czym zwłoki zaszyte w płótno żaglowe, obciążone żelastwem zsunęły się z drewnianego ześlizgu w otchłań Morza Śródziemnego. Pamiętam, że odruchowo przeżegnałem się, co nie uszło uwadze innych. Młody Anglik, steward, zapytał, czy będzie mógł mnie obudzić o świcie, będziemy przepływać między Sardynią i Korsyką; warto było zobaczyć ich piękno o wschodzie słońca. Trwająca wojna na lądzie i na morzu nie sprzyjała przyjaźni z sympatycznym marynarzem.

Neapol, miasto opiewane dla swego piękna, przerażało ogromem zniszczeń i zatopionych statków na skutek alianckich bombardowań. Eastern Prince zacumował tuż przy olbrzymim, odwróconym do góry dnem statku z napisem na

rufie SICILIA – PALERMO. Nie taki obraz opisywał pan major z komisji poborowej w Bordeaux. Nie mam mu tego za złe. Nie wybrałem się tutaj na wycieczkę. Samochodami armii brytyjskiej przewieziono nas do obozu kwarantanny w dzielnicy Afragola. W pobliskiej Casercie mieściła się Główna Kwatera Wojsk Sprzymierzonych śródziemnomorskiego obszaru działań wojennych. Tuż obok funkcjonowało ruchliwe lotnisko. Kwarantanna polegała na przefiltrowaniu przybyszów przez oficerów kontrwywiadu. Ponoć ujawniono paru niepożądanych osobników: w mundurach Wehrmachtu ukrytych członków SS. Chętnie przesłuchiowano Polaków z obsługi wyrzutni V-1 i V-2, co do ich lokalizacji. Nam, przybyłym z Bordeaux, zadawano tylko zasadnicze pytania osobiste. Po wojnie gen. Anders napisał, że tą drogą przybyło z Francji 20 tys. ochotników, którzy zasilili 2. Korpus. Władze brytyjskie miały zamiar, wobec strat pod Monte Cassino, rozwiązać Korpus i utworzyć polskie oddziały przy wielkich własnych jednostkach. General protestował, wskazując na źródło uzupełnień.

Był dzień 22 grudnia 1944 r., gdy spełniło się moje marzenie, i tysięcy innych. Transportem kolejowym zaopatrzeni w doskonale amerykańskie konserwy mięsno-warzywne, czekoladę i papierosy – wymieniane po drodze na soczyste mandarynki – dotarliśmy do rejonu San Basilo nad Morzem Jońskim. Nic to, że wagonami towarowymi, po nieprzespanej nocy. Nareszcie w polskim, z białoczerwoną flagą, obozie wojskowym z dominującym rodzimym językiem i porządkiem. Na pierwszy ogień w pełnym tego słowa znaczeniu poszły sfatygowane ubrania, bielizna i buty. Po dezynfekcji i gruntownej kąpieli z użyciem mydeł marki Lux i Palmolive, niewidzianych od początku wojny, każdy otrzymał po kolei dwa komplety przemielej w dotyku białej wełnianej bielizny wydawanej prosto z dużych kartonów pakowanych w Australii. Otrzymałem: wełniane skarpety, szalik wełniany mogący służyć za czapkę na uszy, solidne podkute buty skórzane i furażerkę, wprawdzie kraju angielskiego, z pięknym polskim orzelkiem mosiężnym, który przechowuję jako relikwię do dziś. Poza tymi ściśle osobistymi rzeczami wydano po dwa koce z australijskiej wełny, pelerynę podgumowaną i maskę gazową oraz płaszcz przeciwiperytowy z kompletem maści i opatrunkiem osobistym. Zaaplikowano serię szczepień. Noclegi zapewniono w 2-osobowych namiotach postawionych na mchu. Niezbyt przytulne podłoże z wystającymi skałami zamieniłem na komfortowy materac z pęków kosodrzewiny pachnącej żywicą. Nakryte peleryną zapewniały miękkie, ciepłe spanie. Rankiem widok na morze i włoskie słoneczne niebo wprost z legowiska doprawdy cieszył.

Tymczasem „Dobrobyt Żołnierza”, przywojskowa instytucja 2. Korpusu, sprowadziła włoskich muzykantów z pobliskiego Metaponto, słynnego z zachowanej klasycznej świątyni z czasów kolonizacji greckiej, podobnej do tej na

ateńskim Akropolu. Nastrój marzeń mąciły myśli o losie bliskich: czy nie dotknęły ich represje za dezercję syna. Tam trwała okupacja.

Ale oto w zgielku wśród nowo kreowanych żołnierzy dostrzegłem przyjaciół torunian, tych samych niezdecydowanych. Janowski z dystynkcjami plutonowego i Jaworski opowiedzieli, jak po wyjściu z Bordeaux szef zatopionego okrętu obwieścił załodze, że Henryk Skrzypiński i Zbigniew K. zostali ujęci i rozstrzelani, to gwoli ostrzeżenia. Obu przyjaciółom na jednym z postojów udało się odebrać do partyzantów. Nie radzili sobie z działkiem przeciwlotniczym. Uruchoił je Jankowski. Polacy stali się bożyszczami Francuzów, ale im pilno było do polskich szeregów. Radosną niespodziankę sprawiło mi spotkanie z Ludwikiem Jakubowskim, kolegą z ławy szkolnej, i Kazikiem Pinczewskim, sąsiadem z kamienicy obok, po wojnie bydgoskim taksówkarzem. Wielu żołnierzy korzystało z możliwości zmiany nazwiska na czas wojny, aby w razie dostania się do niewoli niemieckiej oszczędzić własne życie. Zbyszek K. obrał nazwisko „Karpiński”, osobiście wierzyłem we własne szczęście, jak dotąd niezawodne. Wydano mi Soldier's Service & Pay Book na moje autentyczne imię i nazwisko. Przeworni Anglicy umieścili w książeczce wojskowej formularz testamentu; nie wypełniłem, majątku nie miałem. Nadany mi numer: 1925/633/III, widniał na nieśmiertelniku z niepalnego plastiku.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia 1944. Propozycja księdza kapelana uczestniczenia w rekolekcjach w przeddzień Wigilii była trafiona. Żołnierze przeważnie z Pomorza i Śląska pozbawieni od lat polskiego nabożeństwa chętnie w nich uczestniczyli. Osobiście odczułem duchowe zabiegi kapelana jako pożądany nawrót do nauczonych w rodzinie i szkole polskich wartości. Wigilia w obszernym namiocie–hangarze, kolędy i Pasterka, cieszyły wszystkich. Niewielu natomiast skorzystało z czekoladek Cadbury zdobiących choinkę, staraniem pań ochotniczek z PCK. Słodczyce w mig pochłonęli siedzący bliżej choinki. Pociaszylem się „Kalendarzem – Informatorem na 1945 r.” z dedykacją: „Polski Czerwony Krzyż żołnierzowi 2. Korpusu”; nadal przechowywanym na pamiątkę.

Poświęteczny nastrój urozmaicało wydawanie ważnego wyposażenia. Otrzymałem karabin „Enfield” (wysocze sprawny!) z bagnietem, płaski angielski hełm, typowy angielski komplet parciany pasów, pasków i paseczków, parciane ładownice, także tornister i chlebak. Na koniec płócienny marynarski worek, mieszczący koce, pelerynę, pantofle gimnastyczne (skórzane), menażki, manierkę, wszystko w sumie bardzo praktyczne, zgodnie ze zmysłem angielskim, który trudno pojąć nam „kontynentalnym”. Upragnione naszywki POLAND wzmacniały poczucie dumy.

W sam Nowy Rok 1945 z rejonu San Basilio ruszyła kolumna dział sprzężonych z ciągnikami z obsługą i amunicją. Trasa wiodła stokiem południowych

krańców Apeninów. U dołu nad zatoką Morza Jońskiego leżało miasto Taranto i nieczynny port wojenny.

W wodach zatoki widać było wraki niegdyś potężnych okrętów faszystowskich Włoch. Po wypowiedzeniu przez Mussoliniego wojny dogorywającej w 1940 roku Francji i konkurencyjnej na Morzu Śródziemnym Anglii pozornie bezpieczna włoska baza morska stała się pułapką. Zatoka Tarencka odgradzona zaporą minową od morza i pasmem gór od lądu nie spełniła oczekiwań. Startujące z odległych lotniskowców brytyjskie powolne dwupłatowce „Swordfish” nieoczekiwanie lotem koszącym nad stokami gór, zrzuconymi torpedami zniszczyły nowoczesne jednostki floty włoskiej.

Miasto Squinzano, położone pośrodku obcasa „buta włoskiego”, stało się miejscem postoju naszego 17 PAL-u (Pułku Artylerii Lekkiej). Wywarło ono na nas jak najgorsze wrażenie. Puste ulice, tu i ówdzie w peleryny odziani starcy podejrzliwie zerkający w naszą stronę..., dotarło do nas, że oni się po prostu boją. Niemcy, uchodząc, pozostawili fałszywą „polskich barbarzyńcach, którzy rabują, rozbijają się i gwałcą”. Raz po raz spoza firanek widać było ukryte spojrzenie kobiet. Po pięciu dniach przypadło święto Trzech Króli. Równym krokiem, bez broni, pomaszzerowaliśmy do głównego kościoła. Na komendę „do modlitwy!” zdjęto czapki z głów i równym krokiem kościół wypełnili polscy żołnierze. Kolega nasz Bolesław Brząkalik, z zawodu organista, tak poprowadził kolędy zakończone gromkim „Boże coś Polskę”, że wprowadził Włochów w osłupienie. Z miejsca opadły uprzedzenia. Po mszy świętej otoczyły nas kobiety, nie tylko z ciekawości. Pierwsze rozmowy: „biancheria per lavare, prego”. Prosiły o bieliznę do prania; zaufałem, jak paru innych żołnierzy. Wieczorem przyniosła pięknie wyprasowaną. Nie żądała zapłaty, prosiła tylko o resztę mydła; pozwoliłem zatrzymać i dałem jeszcze 10 lirów. Pod bramę szkoły podchodziły dzieci z naczyniami, prosząc: „mangiare, mangiare”, czyli o jedzenie. Chodziło im o resztki zupy niedojadanej, wylewane do specjalnej kadzi. W tym czasie we Włoszech panowała straszliwa bieda, brakowało zwłaszcza żywności, czarny rynek w tych stronach nie istniał wśród zabiedzonej ludności w zrujnowanym kraju. Dowódca kazał kucharzom nagotować specjalny kocioł zacierki pomidorowej. Amerykańskiej mąki, przecieru i margaryny wojsko we Włoszech stale miało dostatek.

Wojna trwała, ale spontaniczne kontakty zbliżały miejscową ludność, mimo odrębności języków, także notabli ze sztabem pułku. Dowódcą był major Oyrzyński z Torunia. Był wykładowcą w toruńskiej Szkole Podchorążych Artylerii. Jako wojskowy pedagog znalazł się w bazie 2. Korpusu na właściwym miejscu. Bliski mój kolega pułkowy Zygmunt P. (ps. Alan) był synem ogniomistrza P., znajomego majora. Torunianie w 17 PAL-u i bydgoszczanie tworzyli grono,

z którym dowódca pułku chętnie rozmawiał o okupacyjnych losach obu miast i ich mieszkańcach. Dni w poszczególnych bateriach, dywizjonach i dowództwie pułku upływały na szkoleniu. Od regulaminu Służby Wewnętrznej, przez Służbę Wartowniczą, po zasady postawy żołnierskiej, wszystko według zasad obowiązujących w Wojsku Polskim. W odróżnieniu od dotychczasowej swobodnej aklimatyzacji w San Basilio, teraz przestrzeganie dyscypliny stało się wymogiem chwili, zmierzało bowiem do najpoważniejszej części szkolenia, do działoczynów i strzelań artyleryjskich. Osobisty mój udział w tym szkoleniu oraz paru innych bydgoszczan, torunian i Ślązaków trwał zaledwie dwa tygodnie. Oko i ucho psychologa wojskowego wyłoniło nas, żołnierzy, ujawniających szczególny talent do specjalistycznego przeszkolenia w dziedzinie zwiadu artyleryjskiego.

W niedzielę 14 stycznia 1945 r. w grupie 20 żołnierzy znalazłem się w Centrum Wyszkożenia Armii stacjonującym w mieście Matera. W ciągu 8 tygodni wpajano nam na kursie, zwanym „kreślarskim”, tajniki współpracy z obserwatorem artyleryjskim na wysuniętym stanowisku, sporządzania map, ich aktualizacji itp. Ćwiczenia terenowe ze sporządzania rysunku perspektywicznego pola walki należały do przyjemnych. Ćwiczenia z trygonometrii wykładane przez nauczycieli akademickich w mundurach przyprawiały o ból głowy.

Pobyt w Materze sprzyjał rozwojowi młodzieńczej umysłowości. Obok umiejętności czerpanych w CWA, miasto o ponad 1000-letniej historii, bogate w zabytki, muzea, doskonale uzupełniało wiedzę wojskową o wartości humanistyczne. W każdą niedzielę po mszy św. w katedrze, żołnierze wszystkich stopni, w tym pełne polskiego wdzięku dziewczęta z Pomocniczej Służby Kobiet (od skrótu PWSK zwane Pestkami), przechodzili do sali miejscowego kina na „Dziennik mówiony”. Członek kadry naukowej w randze pułkownika, posługując się aktualnymi kronikami filmowymi, przedstawił sytuację wokół Bydgoszczy. W części rozrywkowej koncertowali na dwa fortepiany wirtuozi Rawicz i Landauer, czasowo elewi Szkoły Podchorążych. Parę lat później słyszałem ich w Polskim Radiu.

Szkolenie w CWA dobiegało końca, gdy 12 lutego 1944 r. przekazano wojsku fatalny dla nas wynik konferencji w Jalcie. Nie bacząc na aspekty polityczne, ruszyliśmy na front. Z Materzy przez Bari, Ankonę i Rimini na linię pod Faenzą podróż trwała dwa dni. Wtedy we Włoszech autostrad nie było, a kolumny artylerii i czołgów na krętych objazdach górskich nie ułatwiały przejazdu. Gdy w Rimini skończyła się via Adriatica (nr 16), dalszy ciąg szosą nr 9 (Vila Emilia) przerwał posterunek polskiej żandarmerii. Nowy kierunek wskazała tablica z cyfrą kodu „3500” i znakiem warszawskiej syrenki. Dotarliśmy do miejsca postoju Dowództwa Armijnej Grupy Artylerii. Kolegów absolwentów kursu z CWA rozdysponowano do pięciu rozbudowanych pułków artylerii ciężkiej. Bliskiego mi Zbyszka K.

skierowano do 9 PAC, kolega Witold Suchomski z Chełmży trafił do 13 PAC, a mnie zatrzymano w dowództwie Grupy Artylerii.

Kwaterę urządzono w opustoszałej willi „padrone” (właściciela ziemskiego). Szef ds. gospodarczych st. ogniomistrz Błagowieszczański wskazał mi miejsce do spania, odebrał karabin i wręczył nobilitacyjny pistolet maszynowy „Thomson”, bardziej poręczny w służbie sztabowej. Szef sztabu major Glazer zapoznał mnie z podchorążym Lewickim. Odtąd współpracowałem z nim nad przygotowaniem map z naniesionymi celami ujawnionymi po stronie niemieckiej według zinterpretowanych zdjęć lotniczych, których stopy zdążył dla artylerii dostarczyć RAF. Opracowane przez sztab zwalczania artylerii i własne samoloty obserwacyjne zwane Kubusiami (od pilota – artylerzysty – kryptonim Jakub) gotowe wartości w postaci planów ogni, gońcy motocyklowi rozwozili do sztabów dywizjonów, skąd trafiały do baterii i na stanowiska dział 155 mm „Long Tom” produkcji USA o zasięgu 30 km. Intensywne prace dniami i nocami zapowiadały rychłe uderzenie dla przełamania „linii Dżingis-chana”, jak nazywali Niemcy swoje, od miesięcy umacniane, stanowiska przed Bolonią, sięgające 30 km w głąb.

Prace przygotowawcze do natarcia dobiegały końca, gdy pewnej nocy, pełniąc wartę z kapralem Ratajczakiem, starszym, doświadczonym od czasów Tobruku poznaniakiem, zauważyliśmy podejrzone postacie poruszające się w kierunku Kubusiów, niezwykle wrażliwych samolotów parkujących w cieniu willi. Wezwanie o hasło zostało zignorowane. Salwa z mojego thomsona sprawiła, że zewsząd na niebie pojawiły się flary. Jasno się zrobiło jak w dzień. Koledzy z sąsiednich posterunków ujęli ich. Trzech spadochroniarzy, odzianych w podniszczone swetry i inną odzież na mundurach dywizji spadochronowej, poddało się bez oporu. Odebrany im sprzęt w postaci lotniczego karabinu maszynowego, pistoletów 0,8, radiostacji, granatów, busoli, lornetki i map złożono w sali narad operacyjnych dowództwa. Dywersantów zabrała żandarmeria. Ze sprzętu pozostał tylko karabin maszynowy, granaty i radiostacja. Osobiście zdążyłem obdarować się „prywatną” amunicją na zapas.

Skutki nocnej penetracji przez zwiadowców niemieckich dały znać o sobie. Nękający ogień wokół naszego miejsca postoju paraliżował nasze i innych przygotowania do szturm. Próbowali nas namacać, ich pociski padały niebezpiecznie blisko. Odpowiedzi udzielił sztab zwalczania artylerii. Szybko namierzony przeciwnik zamilkł po serii odpalonych ładunków z dział zawsze gotowych do dyżurnej działobitki. Wyrządzone nam szkody nie były poważne, nikt nie ucierpiał.

Wielkanoc w 1945 roku przypadła w dniach 1 i 2 kwietnia. W pierwszy dzień świąt kucharze przygotowali długi stół w ogrodzie pod drzewami. Na stole nakrytym świeżymi kocami nęciła namiastka święconki. Pomysłowo przekształcone

kostki „Conred Beefu” z Argentyny i „Sliced Bacon”, konserwy z USA, ozdobione majonezem ze skondensowanego mleka dodawanego regulaminowo do herbaty, bawiły oko. Pisanek nie było, bo jak, u licha, kury mogłyby przeżyć na linii frontu? Były natomiast ciastka skomponowane przez kucharzy, cukierki witaminizowane zastrzeżone zwykle dla specjalnych żołnierzy. Wszystko to poświęcił nasz kapelan, pomodlił się z nami, złożył życzenia i odjechał do następnej jednostki, gdzie podobnie uczczono Święto Zmartwychwstania. W drugi dzień świąt dowódca – nie tylko polscy – uznali, że żołnierzom należy się rozrywka. Pobliskie miasto Faenza zaroilo się od żołnierskich naramienników z napisami: POLAND, US, NEW ZEALAND, różnych formacji brytyjskich, BRASIL i PALESTINE – żydowskiej brygady nieistniejącego jeszcze państwa IZRAEL, ale już pod obecną flagą. Daremnie szukałem wzrokiem Japończyków, z którymi przybyłem do Neapolu. Wszystkich fascynował nowy film wyświetlany w ogromnej sali: „Serenada w Dolinie Słońca”. Melodię „Chattanooga Choo Choo” nucono wokół. Nikt nie był świadom straszliwego zła, jakie za tydzień miało być naszym udziałem. Nocami, zaraz po świętach, osobliwa luna światłem reflektorów tworzyła zorzę nad całym zapleczem frontu. Niemieccy jeńcy i deserterzy mówili: „po naszej stronie dobrze widać, co się u was dzieje”, „zgaście te reflektory”. Nasze dowództwo natomiast doszło do wniosku, że sztuczna poświata ułatwia kierowcom dowóz amunicji z wyłączonymi światłami bardziej niż jazda po omacku i przynosi mniejsze straty niż ewentualny ostrzał artylerii niemieckiej. Reflektory można było w każdej chwili zgasić. Obrona przeciwlotnicza od miesięcy nie miała nic do roboty.

9 kwietnia 1945 roku to pamiętny dzień rozpoczęcia ostatniej – jak się okazało – ofensywy sprzymierzonych na froncie włoskim. Od razu ciszę przerwały działa przeciwlotnicze, tworzące prostokąty z obłoczków pocisków dymnych układane nad pozycjami niemieckimi. Miały one wskazywać pola sektorów przeznaczonych dla zrzutu bomb na pozycje niemieckie. Przekazane lotnikom mapy z naniesionymi sektorami były efektem pracy m.in. podchorążego Lewickiego i mojej. Po chwili nadleciały od południa amerykańskie latające fortece, po raz pierwszy użyte w celu taktycznego przelamania umocnień obronnych nieprzyjaciela w polu. Jednocześnie liczne czołgi typu Sherman z naładowanymi na grzbietach wiązkami pni drzewnych stały w gotowości do zrzutu wiązek do koryta rzeki dla ułatwienia przejścia wozom Warszawskiej Brygady Pancerniej. Gdy odlecieli Amerykanie, do dzieła przystąpiła nasza artyleria. Nawala, jakiej świat nie widział, była dla mnie widowiskiem. Wcześniej dzień i noc pracowałem ja, oni czekali, teraz oni, koledzy na linii frontu, pracowali w ogłuszającym huku, donosząc amunicję, ładując, celując i niszcząc, nie widząc nawet celu na oczy, kierowali się

planami ogni.

Mijały godziny, a natarcie piechoty nie ruszało z miejsca. Podczas nalotu fortec seria bomb spadła na polskie linie. Wśród żołnierzy gotowych do szturmów byli zabici i ranni. Konsternacja i rozgoryczenie; wśród poszkodowanych byli koledzy z regionu kujawsko-pomorskiego. Gen. Anders osobiście udał się na pierwszą linię. Po wojnie napisał: „stwierdziłem niestety dość duże straty. Żołnierz wykazał godne podziwu opanowanie. Dzięki energii dowódców luki w oddziałach wypełniono i natarcie 2. Korpusu ruszyło bez opóźnienia”.

Czas naglił, a nadrzeczne umocnienia wzdłuż Senio zionęły ogniem. Wezwane samoloty RAF-u lotem koszącym dokonały „zmiękczenia wału”, a „krokodyle”, czyli czołgi wyposażone w olbrzymie miotacze płomieni, dokończyły dzieła. Cały front ruszył naprzód. Na lewo od 2. Polskiego Korpusu w Apeninach walczyła 10. Dywizja Górską USA, na prawo dywizja nowozelandzka nazwana tajnym rozkazem „Force H”, na razie nie wiadomo, dlaczego. Wiedziałem dużo, żołnierz na pierwszej linii wie tyle, ile widzi wokół siebie. Mój szczęśliwy przydział do sztabu sprawił, że zakres wykonywanych przeze mnie zadań sięgał nawet za linie nieprzyjaciela. Ponadto dostarczone regularnie przez kontrwywiad MELSYTY, czyli meldunki sytuacyjne, były niezwykle ciekawą lekturą. Od osobistych zeznań jeńców po sytuację jednostek niemieckich posługujących się zarekwirowanymi krowami, jako siłą pociągową z braku paliwa. Kazano mi pilnować wielkiej mapy zawieszanej w hallu i dbać o aktualne oznaczenie położenia jednostek własnych i nieprzyjaciela (npla), ruchów i kierunków na tzw. oleacie za pomocą zmywalnych mazaków. Oleata była to przezroczysta celuloidowa płyta odpowiednio oprawiona nakładana na mapę, umożliwiającą nanoszenie mazakami w różnych kolorach dowolnych znaków bez naruszenia treści samej mapy. „Znaki umowne” stanowiły specjalny rozdział wśród przedmiotów nauczania w CWA.

Służbą przy oleacie czułem się zaszczycony. Bywało, że wpadali do dowódcy 2. AGPA płk. dr. Ludwika Ząbkowskiego, celowo lub przejazdem gen. Anders, gen. Bohusz Szyszko i inni wysocy dowódcy lub ich adiutanci. W hallu nie omieszkali uaktualnić lub przynajmniej porównać swoich osobistych oleat z „moją” wielką oleatą, stale przeze mnie aktualizowaną. Sympatyczny był wpadający na pogawędkę dziennikarz i reporter BBC Marek Świącicki, autor książki „Za siedmioma rzekami była Bolonia”, wydanej zaraz po wojnie.

Niemcy, wypierani z kolejnych stanowisk, nad rzeką Santermo zaskoczyli obecnością 1. Dywizji Spadochronowej. Musiało im zależeć na utrzymaniu pozycji we Włoszech, skoro tej elitarniej jednostki, poznanej na Monte Cassino, nie użyto w obronie Berlina. W tym samym czasie, 16 kwietnia, rozpoczęła się bowiem ofensywa znad Odry.



Fot. 4. Gen. Władysław Anders podczas przeglądu jednostek 2 Armijnej Grupy Artylerii po bitwie pod Bolonią w okolicach Rawenny. Drugi z prawej autor wspomnień (fot. ze zbiorów prywatnych autora)

kujących na – ważny widocznie w obliczu klęski – niemiecki obiekt, dwa po wyczerpaniu amunicji odleciały. Trzeci brawurowo, mimo wymierzonego przez niego snopu pocisków zapalających dobrze widocznych, szykował się do ataku. Trafili go, samolot bezwładnie opadał, ogień przerwali, lotnik wyskoczył. Kiedy z otwartym spadochronem opadał ku ziemi, oni ponownie ogień otworzyli. W płonących strzępach spadochronu lotnik zginął.



Fot 5. Autor wspomnień dniu 19. urodzin na powojennym, urlopie w Rzymie (fot. ze zbiorów prywatnych autora)

Wśród wojennych wspomnień bitwa pod Bolonią pozostawiła w mojej pamięci niezatarty epizod świadczący o nieludzkiej zaciekleści niemieckiej obsługi poczwornie sprzężonego działka 20 mm przeciwlotniczego i niezwyklej odwadze oraz pogardzie śmierci brytyjskiego pilota myśliwca bombardującego. Spośród trzech samolotów nur-

Obok pobliskiego cmentarza wojennego w Bolonii znajduje się cmentarz brytyjski. Poszedłem tam, aby w rejestrze pochowanych poznać, kim był ów bohaterski lotnik. Pod tą samą datą odnotowano dziewięciu poległych w podobnych okolicznościach lotników. Walki dla nas żołnierzy 2. Polskiego Korpusu zakończyły się wyzwoleniem Bolonii 23 kwietnia 1945 r. Na wspomnianym cmentarzu spoczywa ponad 1400 żołnierzy polskich, wśród nich 115 bohaterów pochodzących z Bydgoszczy, Pomorza i Kujaw. Nazwiska i okoliczności śmierci opisane przez autora niniejszych wspomnień zamieszczono w „Kronice Bydgoskiej” z 2009 roku.

Zwycięstwo pod Bolonią sprawiło, że działania wojenne we Włoszech i na obszarze Morza Śródziemnego trwały jeszcze tylko 9 dni. Niemcy podpisali kapitulację w Casercie 2 maja 1945 r.

Nie dopuszczono naszych dywizji do sławetnego „Wyścigu do Triestu”. Niemcy grozili nam zgubą na linii rzeki Pad, ale i tam zostali pokonani przez dywizję nowozelandzką. Pościg od Bolonii przez Padwę i Wenecję polegał na uprzedzeniu wojsk jugosłowiańskich i sowieckich w zajęciu tego strategicznego miasta i portu. Naczelne dowództwo zapewne obawiało się, że dotarcie Polaków do Triestu wywoła incydent. W istocie rzeczy czołgi nowozelandzkie o tajemniczym kryptonimie „H” stanęły lufa w lufę z czołgami sowieckimi w centrum miasta. Włoski Triest pozostawał podzielony przez 30 lat, podobnie jak Berlin, choć obyło się bez haniebnego muru.

Na drogach zawitych, wiodących do Andersa mimo prześladowań i zagrożeń życia towarzyszył mi uśmiech fortuny. Jako szczęśliwy dwudziestolatek, nieposiadający niczego z dóbr materialnych, lecz zachowane życie i dobry stan zdrowia, uśmiech ten utrwalilem, zwłaszcza, że wyróżniony trzema (na razie) odznaczeniami wojennymi zostałem z miejsca postoju dowództwa w mieście Imola skierowany do Liceum Ogólnokształcącego 3. Dywizji Strzelców Karpackich, urządzonego w górskim uzdrowisku Sarnano, gdzie wykorzystano nieczynne od czasów wojny obiekty i kwatery prywatne. Kadre pedagogiczną tworzyli nauczyciele będący absolwentami uniwersytetów krajowych, oficerowie czasu wojny. Języków obcych, oprócz łaciny, uczyli kontraktowi nauczyciele brytyjscy i włoscy. Podręczniki wydrukowała oficyna polskich oo. franciszkanów w Jerozolimie.

Odzyskanie niepodległości przez Włochy sprawiło wycofanie obcych wojsk. Przeniesiono nas do Anglii, gdzie Szkoła funkcjonowała nadal. Rok 1948 obfitował w przełomowe dla mnie wydarzenia: matura i decyzja o powrocie do kraju. Tęsknota i zachęta ze strony rodziny sprawiły, że znalazłem się ponownie na pokładzie HMTS Eastern Prince. Okoliczności przybycia do Gdyni dalekie były od przyjaznych. Pracę w biurach projektów architektonicznych i budowlanych znalazłem dość łatwo. Uzupełniające studia wyższe i biegłość języków obcych dawały mi szansę dodatkowego zatrudnienia, mimo stałego zainteresowania moją „andersowską” prominenacją funkcjonariuszy UB i ich przyjaciół. Zachowanie równowagi w tamtych niezrównoważonych czasach zawdzięczam kształceniu ducha u źródeł kultury i cywilizacji europejskiej. Zjednoczona Europa była marzeniem żołnierzy polskich pod Bolonią.